

1744

0045-81660

Seweryn Goszczyński.

ZAMEK KANIOWSKI. SOBÓTKA.

1225
Nr. 1225

OC

Biblioteka
KANSKIEGO



WARSZAWA.

Nakładem Redakcji „WĘDROWCA”.

1891.

78
BIBLIOTEKA
Stowarzyszenia »Ognisko«
Oddział w Gdańsku

~~2370~~
81

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Декабря 1889 года.



1744 81

XIX/98I

Druk S. Sikorskiego, Chmielna 9.

D 41/10/99 25

Nr

1225

Wielka Biblioteka
OGÓLNOŚCIE

128
CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Wspaniałe zamku kaniowskiego wieże
Wznoszą się w chmury jak olbrzyma ramię;
A dzielnej ziemi powiewa z nich znamię,
A wielkich granic twarda ich pierś strzeże.
Kaniów po jarach, górach, rozpierzchnięty,
Igra, jak dzieci pod piastunki okiem;
Dumne, że płyną pod olbrzyma bokiem,
Poważnie kipią dniewprowych wód męty;
A lasy, świeże jak powab nietknięty,
Po górach, dzikich jak rozpaczy czoło,
Rozległe brzegi obsiadły w około.

II.

Wietrzna jesienna zawyła noc zdala.
Warzą się wiry w zamąconem łożu;

Dzieła S. Goszczyńskiego

Wre chmur kłębam i niebo, jak fala;
 Złośliwy obłęd *) igra po rozdrożu.
 Podróżny z cichem szeptaniem pacierza
 Mija rozdoły świstające trzcina:
 W skrwawionych szponach zgłodniałego zwierza
 Dławione bydlę poryka dolina.
 Pod szturmem wiatru, co silnie dmie górą,
 Słysząc skrzypanie głównej szubienicy:
 Trup się kołysze, pies wyje ponuro,
 Śmierć snu osiadła w zamku okolicy.
 Szablą, czasami pobrzękując krzywą,
 Szydłwach wisielca, wzdłuż płaskiego wzgórza,
 Zwijając wąsy, przechadza się żywo:
 To cisza nocy w myślach go ponurza;
 To szubienicy skrzywienie ocuci:
 A on wzrok błędny to na trupa rzuci,
 Niby się jego zatrwożył wskrzeszenia, —
 To, jak po śmiałość, kieruje spojrzenia
 Gdzie, baszt zamkowych opiekuńcza gwiazda,
 Strażnicy ogień czuwa z wierzehu wieży.
 Szelest po krzakach. Czy ptak pierzchnął z gniazda?
 Coś majaczeje, **) coś po drodze bieży.

*) Podług mniemania ukraińskiego ludu, nawet zbłądzenie w podróży nie jest dziełem przypadku. Czart, którego tam wszędzie pełno, ściga wędrowców, i rozmaitemi sposobami stara się ich w bezdroża uprowadzać; a wicher noenry uważanym jest za pierwsze jego narzędzie do obłąkania i najświadomszych nawet położenia miejsca.

**) Wyraz miejscowy. Słowo „majaczyć“ nie ma może odpowiedniego w czystej polszczyźnie, migać w dalekości, ćmić się, ukazywać, — tłumaczy jakożkolwiek jego znaczenie. Właściwie polskie „majaczyć“ co innego wyraża.

Tfu! W imię ojca... To tumany djable.
 Po cieniach nocy wszystko się rozsiało.
 Kozak opatrzył janczarkę *) i szablę,
 I dawną drogą chodził dalej śmiało.

III.

W świetle księżyca co wyrzy czasami,
 Mignął ktoś bielą, i zagaśł tam w krzaku:
 I śpiew dziewiczy przeleciał z wiatrami;
 Ten śpiew, znajomy, budzi dreszcz w kozaku.
 Alboż to dziwno, że słowa dziewczyny
 (Poznać ją można po jej miłej nucie),
 W burzliwem sercu syna Ukrainy,
 Ocknęły nagle burzliwe uczucie,
 Oho! już niema kozaka u wzgórze.
 A księżyc znowu mgłami się zachmurza
 I noc mokremi tumanami bije,
 I szubienica skrzypi, i pies wyje,
 I po rozdrożu igrają bałwany,
 I wicher, z jękiem, dmie w zamkowe ściany.

IV.

Luba puszczyka siedzi naperzona.
 W szczelinie wieży dawno jęczy ona:
 Ze miesiąc ściemniał, wiatry na nią wyły,
 I na jak długo odleciał jej miły.
 Wszak-to lot jego usłyszała w górze?
 Nie; to dziewczyna przychodzi pod wieżę,

(*) „Janczarka:“ rodzaj strzelby tureckiej.

Błądzącą ręką za mury się bierze.

Plątane nogi pośród nocy stawia.

— „Czyś tu Nebabo?” scichotka przemawia.

— „Tu, tu, Orliko!” szepnął głos przy murze.

— „O jakżem rada żem wreszcie przy tobie!”

Głośniej i śmieiej dziewczyna wyrzekła.

— „Jakże tu ciemno, jak straszno! jak w grobie.

— „Chętniebym jednak za każdą zręcznością,

„I do samego uciekała piekła

„Przed tego Lacha obrzydłą miłością.

„Jakże tu wietrzno, i straszno, i ciemno!

„Ale mnie dobrze skoro jesteś ze mną!”

Kozak, tymczasem, uchylił swej burki,

I, utuloną, do boku przycisnął;

Bo przykry wichur pośród murów świsnął;

I mgliste jęły podnosić się chmurki.

V.

Resztę rozmowy utaja milczenie.

A i na wieży miłe posiedzenie

Gdy zakochane zlecą się puszczyki.

Puszczyk pierwszy.

Skąd ci ten pośpiech i wesołe krzyki?

Puszczyk drugi.

Patrz-no, patrzaj, miluchna,

Oczkiem żywym jak blask pruchna;

Patrz-no i śmieij się bo twe śmiechy miłe

Jak tej matki wrzask przestrachu,

Którą niedawno ostrzegałem, z dachu,

Ze chory jej pieszczoszek zalegnie mogiłę:

Jak djabli przy wisielcu snują się orszakiem.
Co oni wyrabiają z tym biednym kozakiem!

Cha, cha, cha!

Ten, zmaczanym snopem trzciny,
Jak na wszystkie strony macha,
Jakie grube mgły rozsiewa;
A ten obudza wiatry dębiny,
Jak biega w koło, gałęziami smaga;
A ów mu pomaga,
Jak skrzypi szubienicą! aż prawie wrywa.

Puszczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi.

Czekaj! widzisz, pod krzakiem coś białe majaczy.
To kochanka kozaka, widzieć go przychodzi;
I kozak wie o niej, lecz go djabeł zwodzi;
Co tu kobiecych snuje się postaci,
Głosów podobnych co tu z każdej strony!
Patrz! posłyszał ją, ujrzał, bieży rozpędzony
I z oka traci!
Cha, cha, cha!

Puszczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi.

A tam znowu, na górze, patrz! jeździec majaczy:
Podjeżdża ku szubienicy:
Szydłwach do rusznicy:
Krzemień klasnął, proch wybuchnął,
Djabeł dmuchnął,

Wszystko z wiatrem uleciało:
 A przed oczami szyldwacha
 Pożółciało, pociemniało,
 I tysiąc jezdnych dokoła majaczy!

Cha, cha, cha!

Puszczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi.

Aha! już kozak znalazł dziewicę,
 Jeździec pod szubienicę.

Patrz! trup się urwał; patrz, wisi drugi;

Djabeł skory do posługi.

W jakiej się pysze

Wesoły djabeł kołysze,

Jak zabawia towarzysze!

Jakie skoki, jakie śmiechy!

Cha-cha! chy-chy!

Puszczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi.

Patrz! jeździec ukradł trupa i pędzi przez błonia,

Aż mgła wstaje z konia;

Już ledwie, ledwie majaczy!

Puszczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi.

Otumanili *) kozaka.

Poziera z pod krzaka:

*) Otumanic; obłąkać, zaćmić zmysły, — coś podobnego.
 Prowincjalizm.

I szubienica stoi, i djabeł się chwieje;

Kozak spokojny, a djabeł się śmieje!

Puszczczyk pierwszy.

Cóż się stanie z wisielcem jak kogut zapieje?

Puszczczyk drugi.

Parą się rozwieje.

Puszczczyk pierwszy.

A jak trupa nie znajdzie, co szyldwacha spotka?

Puszczczyk drugi.

Zmienić djabła raczy.

Puszczczyk pierwszy.

Cóż to wszystko znaczy?

Puszczczyk drugi.

Szatańska pustotka:

Cha, cha, cha!

Szyldwach trupa nie ustrzegł, powieszą szyldwacha.

VI.

A tam u dołu jakie słycać gwary?

To słodkie słowa zakochanej pary,

— „Cóż on ci prawił, moje ty kochanie,

„Kiedym was dzisiaj zeszedł niespodzianie?”

Pytał Nebaba. — „Jego piosnka stara,

„Tak, że już teraz i nie zważam na nią:

„Jaka szczęśliwa byłaby z nas para,

„Jak znakomitą zostałabym panią

„Gdybym zechciała zostać rządcy żoną,

„Prawił jak dziecku. Szczególne gadanie!

„Jakby mię w koło szanowano, czczono:

„Potem dwór jaki, a jakie ubranie!

„Że, zresztą, w szczęściu nie mogę być takim”

„Choćby z najpierwszym złączona kozakiem”

— „I ty go słuchasz, kochana Orliko!”

Przerwał Nebaba; a nagłe przerwanie

Dosyć odkrywa jak wzmianka o panie

O serce jego odbija się dziko, —

„Lepiej byłoby nie słuchać, Orliko!

„Jednak ty kochasz tylko mnie samego!”

Tak wrzące, nagłe były słowa jego,

Że między niemi dosyć czasu minie

Nim na odpowiedź zbierze się dziewczynie:

— „Ach! tybyś może mniej uwierzył mowie,

„Czy ciebie kocham, niechaj ci to powie!”

I pocałunek płonącej miłości

Złożyła, w ogniu, na usta zazdrości.

— „Orliko słuchaj: niech go niebo strzeże

„Kogo postawi piekło między nami!

„Jutro, dziś jeszcze!... Widzisz o te wieże

„Widzisz, Orliko, ten bór za wodami?...

„A czyliż darmo i ja noszę szablę?

„Jeśli podszepty uwiodą go djable,

„Orliko, słuchaj, i Bóg nie ustrzeże!”

I dla uniesień dzikich przyświadczenia.

W dziewicze usta zionął takie żary

Jakiemi, drzewo wypala, dłoń mary.

Kiedy niewierny przeczy jej zjawienia.

A chociaż ogniem grały jego żyły.

Usta pały i oczy iskrzyły;

Pozór krwi zimnej w głosie swoim chowa,

I te do pierwszych dodał jeszcze słowa:

„Takie jak czujesz nie zgasną upały!

„Niechże się teraz dotknie ich zuchwały!
 „To pieczęć klątwy na skarbach twej twarzy
 „A kto je ruszy piekło go oparzy!”
 Nagle się dziwnie zaśmiały puszczyki:
 Pieszczone cieniem, stworzenia te rade
 Słyszeć wyroki co niosą zagładę.
 A strach się w sercu obudził Orliki.
 I północ w dzwony zegaru uderzy,
 I kochankowie poszli gdzie sen woła.
 I wszystko cicho u drzemiącej wieży,
 I wszystko cicho pod zamkiem dokoła,
 Chyba niekiedy puszczyk zachychoce,
 Że syny piekła do pustot ochocze,
 To echo zamku drażnią swym tupotem,
 To znowu, zęby wyiskrzywszy smocze,
 Błądzące ognie udają nad błotem.

VII.

Gwiazdo świetna, wesola, jak anioł młodości!
 Gdy na złotym promieniu, wiedziesz z sobą lato,
 Jak jej nadzieja, wtedy, spoczywasz w ciemności,
 Dzisiaj, mglistą jesieni osłonią szatą,
 Jakże tęsknie opuszczasz niebo Ukrainy,
 Gdzie wszystko jest pięknnością niewinnej dziewczyny,
 Gdzie powietrze, pogodne jak blask jej oblicza,
 Czaruje, w swych powiewach, urokiem jej tchnienia;
 Gdzie wody odbijają światło jej spojrzenia;
 Gdzie pagórki ponętne jak jej pierś dziewicza:
 Gdzie wietrzyk harmoniją pieśni jej powiewa,
 Gdzie kwiaty płeć jej mają, a jej świeżość drzewa!

Czemuż, o smutna gwiazdo, w zachodzie jesieni,
 Jak konające oko, twój się okrąg mieni?
 Ponury jest twój zachód, i wschód twój ponury,
 Kiedy się w chmurę kładziesz, kiedy wstajesz z chmury!
 Pod rosą, co się dzisiaj promieni tak świetnie,
 Jutro, przed ranem jeszcze ten kwiatek zakrzepnie:
 Jak wśród zdrajczej pieszczoty, piękność uwiedziona
 Ten listek, taki świeży, żalu nie wyszepnie
 Gdy z rodzinnej gałązki wiatery go odetnie,
 I, na wywiędłej braci, jeszcze dzisiaj skona!
 Żegnaj cię więc, o gwiazdo, przed smutnym noclegiem:
 Jękiem listka co głuchnie nad ogłuchłym brzegiem;
 Wielkim hymnem żórawi co ciągną ku morzu;
 Rykiem trzody co rzuca jałowe pastwiska;
 Głuchym szumem co stęka w zmartwiałych wód łożu;
 Konajacym promieniem co z rosy połyska,
 Gdy, raz ostatni, drżącą, zimny wicher ścisną!

VIII.

Otóż i księżyc z pod światów posady
 Jak cień zmarłego słońca, wyszedł błady:
 Żyjącym ogniem igra Dniepru fala;
 Urwistych brzegów zabielały piaski;
 Jak cienie chmurek, majaczą wkrąg laski,
 Lecz, z przeciwnego dniewowego brzegu,
 Jak nawałnica gdy się na świat zwała,
 Grożąca ciemność czarny bór zalega:
 A tylko, czasem, między jego cieniem,
 A tylko, czasem nad jego sklepieniem,

Jak płomyk błędny, światło jakieś błyska,
I jaśniej buchnie łuną *) od ogniska.

IX.

Gdy ziemia uśnie księżyc wartę trzyma,
I nocne wiatry oblatują ciszę,
I sen ciemnicy czujność ukołysze;
Bezpieczna wtedy, pod jego oczyma,
Ochoczą młodzież radość przywoływa
Gdzie na nią czeka swoboda szczęśliwa
Poniżej miasta, po nad brzegiem, dołem,
Sędziwe lipy, Dniepru wód strażnice,
Stoją poważnie, z płowiejącem czołem:
Tam się na huczne schodzą wieczornice
Rześcy parobcy i hoże dziewice.
A gdy nad jasnym sinych wód rozlewem,
I brzeg zasięda i uwieńczą wzgórki,
I wiatry Dniepru poślą z cichym śpiewem,
I wnet uderzą w piszczałki, bandurki,
Wierzysz natenczas, że to czarów siła
Zaklętą ucztę w nocy wyprawiła.

X.

Lecz niech piszczałki i bandurki dzwonią,
Niechaj się płocho rozkochani gonia,
Niech ziemia tentni gdy taniec zakręca
Z lepszej młodzieży uplecione koło,

*) W dobrej polszczyźnie i w Lindem, łuna lub łona.
Autor tak zawsze używa tego wyrazu.

Niech na ustroniu dziewczę skryte połą,
 Bijącym łonem rozgrzewa młodzieńca.
 Tam pod drzewami posiedzenie cichsze.
 Tam skłonne serca i kielich godowy
 Kupią płci obie na ważne rozmowy:
 Tam, nieszczęśliwy znikły we złym wicherze,
 Czerwony upior, co północną chwilą,
 Krew sennych dzieci wydają z odźwierka; *)
 Widma, oczami wartowana tyłą,
 Co roś z kwiatów na śmietaną cyrka; **)
 Jęcząca w górze nie ochrzczona dusza;
 Latawiec, gwiazda co kobiet wysusza,
 Litość i trwogę budzą na przemiany.

XI.

Cyt! „Ho-hop, ho-hop! odgłos smutny, znany,
 Smutny jak odgłos sowy pośród cienia,
 Coraz wyraźniej, coraz bliżej woła.
 „Topielec Ksenia! ach, topielec Ksenia
 „Zbliża się do nas!” wołano do koła.
 Razem ustały i tańce i śpiewy:
 Ciasnym okręgiem skupiły się dziewy,
 Wzrok niespokojny zwrócili parobcy
 W stronę, z kąd słyhać głos ten ziemi obcy.
 „Ho-hop, Nebabo! ho-hop atamanie”
 Bliżej i bliżej i bliżej hukanie.
 Aż oto razem i strasydło stanie!

*) Odrzwi.

**) Cyrkać; wyraz miejscowy, znaczy: skrapiać, tryskać.

Jakby skrzydłami pijanych szatanów,
 Śród takich leci konwulsyjnych tanów,
 Postać szkieleta, dzikość ma w spojrzeniu:
 Łachmanów strzępy wiszą po odzieniu;
 W wywiędłe kwiaty, w wypłowiałe wstęgi
 Utkala gęsto warkocz skołtuniony:
 Gwizdnęła, klasła i z wietrznemi kręgi,
 Nagle we wszystkie rzuciła się strony,
 „Ho-hop, Nebabo! Ho-hop atamanie!”
 A jaki w koło strach i pomieszanie,
 Gdzie tylko zwróci, gdzie się tylko zbliża.
 Jak przed szatanem, robią znaki krzyża;
 Bo choć djablica ma postać człowieka,
 Jednak od krzyża ze wstrętem ucieka.
 I gnać ją trzeba, bo mu nie najlepiej
 Z kim ona blisko, przy kim się uczepli.
 „Ho-hop, Nebabo!” dokoła huknęła,
 I jak tu spadła, tak ztąd i zniknęła.

XII.

Już-to zamkowi lękać się potrzeba,
 Gdy ją zesłały, ciężkiej kary nieba
 Dziwna istota! co z pewnego czasu,
 Ciągłe przebiega miasto, z końca w koniec
 Z hukiem wędrowca gdy błądzi śród lasu.
 Kto wie czyli to nie złej wróżby goniec?
 Bo cera u nich od śmiertelnej bledsza:
 Jak myśl rozpaczy, tak się zjawia, znika;
 Dziwna jej żywość, jak radość puszczyka;
 Głos jak psa wycie, kiedy trupy zwierza.

„Niech Bóg odwróci djablicę przebrzydłą!
 „Niech Bóg ustrzeże od niej atamana!”
 Przebąkiwała drużyna zmiészana!

XIII.

Gdzież jest ataman, że, w gronie mołojców,
 Na wieczornicę dotąd nie przybywa?
 Gdzież jest ataman? każdy zapytywa.
 Ataman: stary w kole starych ojców!
 Jak sam pan polski, przed panem tak hardy;
 Prędko jak połysk co biegnie żelazem,
 Lecz, w swojej zemście, jak żelazo twardy;
 Czczony od swoich zarówno obrazem:
 Duszą jest dziewcząt i wieczornic razem!
 Ten czarny wąsik, co, w drobnym pierścieniu.
 Nad różowemi ustami się zwiąja;
 Ten wzrök, co przy brwiach ciemnych tak odbija
 Jak blask południa przy północy cieniu;
 Ten kształt postawy, co, burką opięty,
 Tak się wydaje, w wspaniałym pochodzie
 Jak maszt bajdaku *) gdy żagiel rozdęty
 Mknie go z wiatrami po dneprowej wodzie.
 Szczęśliwa, którą zaczepi uprzejmie;
 Szczęśliwsza, którą uściskiem obejmie;
 Szczęśliwsza jeszcze, najszczęśliwsza w świecie,
 Czyją wstążeczkę w seledec **) zaplecie!

*) Bajdak; gatunek łodzi używanej na Dnieprze.

**) Kozacy ukraińscy noszą krótko strzyżoną głowę z długim na boku kosmykiem włosów, który zwykli uplatać w wstążki; miłosne upominki swych dziewcz. (Przyp. wyd.)

XIV.

Gdzież jest, co robi ataman Nebaba,
 Pierwszy z kozaków starosty nadwornych?
 Siedzi on, cichy, w ciemnościach wieczornych,
 Gdzie wrzawa miasta dolatuje słaba.
 Gdzie na dnie jaru, ścian zamkowych spodem,
 Cicha krynica drzemie pod osiką, —
 Tam przyszedł czekać, jeszcze przed zachodem,
 Jak się umówił ze swoją Orliką.
 Jakkolwiek sercem unosisz się dzikiem,
 Wlecze cię miłość piękną rzęsą jedną,
 Jednem westchnieniem, jednym ócz promykiem.
 Już słońce zaszło, zmierzchłe nieba bledną,
 Ziemia ciemnieje a Orliki nie ma.
 A zakochany, w oku, w uchu wszystkich,
 Tak w okrąg strzela okiem i uszyma.
 Czy wiatr przeleci, czy upadnie listek
 Kochane widmo marzy jego dusza!
 I wiatr przelata, i list się przerusza,
 Orliki jednak jak niema tak niema.
 Już, po sto razy. wzrokiem wypatrzonym,
 Witał wstające nad wzgórzem obłoki;
 Już po sto razy rozeznał jej kroki
 W bliskiego zamku zgiełku przytłumionym:
 I zawsze błędził; aż, błędząc w około,
 Nad ciche źródło schylił ciemne czoło.
 I tak głęboko myśli w nim zanurzy
 Jakby w zwierciadle serca swego burzy.
 A tam błękity maluje odbicie,
 I obraz jego w odbitym błękitcie.

Nr. _____

Biblioteki
 SKIEGO

Jakby go ręka stworzyła malarza.
 Łuno tam słońca w zachodzie się mieni;
 Oblędnym blaskiem gasnących płomieni.
 Mierzchnące nieba gasi, to rozżarza.
 A kochankowi tak czas jakoś idzie,
 Jakby się patrzył na lubą we wstydzie.
 W górze, liść zwiędły nagiej osiczyny,
 Sam na gałęzi, posepnie szeleści,
 Tak, odumarły od lubej rodziny,
 Sędziwy ojciec bez pociech, w boleści,
 Podobnie zwiędły, samotny podobnie,
 Do grobu dziątek utęsknia żalobnie,
 Gęściejszym zmierzchem już się niebo mroczy.
 Mroczy się niebo i na dnie przezroczy:
 W bledszym zachodzie, zorza zaigrała;
 I, przez gałęzi bezlistnej osiki,
 Zadrzały w wodzie żywe jej promyki:
 Ach, jakie żywe! to oko Orliki!
 Otóż się jawi i postać jej cała:
 Widzi, jak z góry, krok przyspiesza skory;
 A od pośpiechu lica żywiej płoną,
 A od radości częściej bije łono,
 A od powiewu co płacze kędziory,
 I kraśne wstęgi po plecach rozwija,
 Z cienkiego stroju stan smutny przebija.
 Już staje obok, już ją oto ściska:
 Aż nagle zorza chowa się w obłoku;
 Widmo zniknęło, ciemność na dnie stoku:
 I, o wiek cały, szczęśliwość tak bliska!
 A u kozaka taka myśl ponura
 Jakby mu w duszy osiadła ta chmura.

Nie wie dla czego: odsunął się w stronę,
 Oparł na rękę czoło zamysłone;
 Znowu się rzucił, jakby w nagłym gniewie,
 I razem ostygł: czemu wszystko? nie wie,
 A potem dobył kinżału z zapasa,
 Obracał w rękę, igrał z blaskiem jego.
 Probował ostrza: nie wiedzieć dla czego,

XV.

„Ho-hop, Nebabo!“ djabeł wichrem hasa.
 Niechże cię smołą rozleje krzyż pański!
 I tu ofiarę zwietrzył nos szatański!
 Poznał ataman, po przelocie, ptaszka;
 A że mieć z djabełem sprawę, nie igraszka,
 Trzeba tu uwieść tę szatańską córkę.
 Więc się przezegnał, obwinał się w burkę,
 I przyczajony czekał pod osiką,
 Aż się wykrzyczy i dalej pomacha
 Lucyferowa opętana swacha,*)
 W djabelskim tańcu, z djabelską muzyką.
 „Ho-hop, Nebabo!“ a ona dokoła,
 „Ho-hop, Nebabo!“ o ona go woła,
 A okiem błyska i martwo i sino;
 Tak krople siarki z wolnym ogniem płyną.
 Masz pułk szatanów, jeszcze ich miej tyle,
 Wytropić jego nie jesteś ty w sile!
 Kiedy więc długo hukala, klaskała,
 Z hukiem i klaskiem dalej poleciała,
 Uniknął przecie straszego widzenia:

(*) Swatka.



Lecz trwożne serce nie dobrze coś wróży;
Orliki nie ma, a wabiła Ksenia.

Wszystko nie dobrze: nie czas myśleć dłużej,
I dłużej czekać; bo, hasłem wiadomem,
Z zamkowych ganków trąba się ozwała,
I strzał wieczorny zamkowego działa
Zatrząsał Kaniowa okolice gromem.

XVI.

Czy się spodziewać starosty (*) przybycia?
Czyli patrona pana rządcy święto?
Że tak zamkową salę wyprzątnięto;
Stół ustrojono w kosztowne nakrycia,
Jasnym go srebrem suto zastawiono;
A, tak jak wielka, przez stołową salę,
To na zwierciadłach, to w rzniętym kryształe,
Jarzące światła rześnym blaskiem płoną.
I sam pan rządcą, wieczorem, przebrany
W nową czamare, w pas złotem kapiący,
Rozkazał: aby strojono torbany,
By czystą odzież oblekli służący,
Hojną wieczerzą by zastawić stoły,
Odeprzeć lochy warowne żelazem,
Wytoczyć na dwór kilka beczek razem. —
Aby ten wieczór wszystkim był wesoly.

XVII.

Lecz na cóż tutaj długie tajemnice?

(*) Mikołaja Potockiego, dziedzica tych włości.

Młoda Orlika już jest rządcy żoną.
Tylko co ślubne światła pogaszono,
I ksiądz zdjął stulę, i zamknął kaplicę.
Wszyscy się dziwią nad skrytym powodem,
Tak pośpiesznego tego rządcy czynu,
Choć dobrze znana jego miłość stała.
Ale Orlika! to-to dziw dla gminu!
Co jeszcze dzisiaj przed słońca zachodem,
Niż zostać Polką umrzećby wołała....
Za godzin kilka, nad samym wieczorem,
Wysławszy służbę surowym rozkazem,
Został się rządcą sam z Orliką razem,
I coś poważnym zaczął rozhoworem.
Prędko i przykro wrzasnął głos Orliki,
Jakby nagłego przestrichu wrzask dziki.
Rządca wciąż mówił; dziewczyna milczała,
Ucichł; dziewczyna znowu zaszlochała:
I słyhać było, długo, nieprzerwanie,
Mięszane ciągle jej słowa i łkanie.
I, wzdłuż komnaty poważne stąpanie.
I znowu potem groźna rządcy mowa,
Jak huk stłumiony rozległa się wnętrzem:
Prędej urywał. prędej chwytął słowa;
I ucichł, jakby odpowiedzi czeka!
A gdy dziewczyna, widać, ją przewleka,
Uderzył krokiem o podłogę prędszym,
I chciał wyjść pewnie, bo klamka zabrzękła:
A tu Orlika, jak przybita jękla.
Musi być zadość srogiemu żądaniu;
Bo wrócił nazad, i jak najłagodniej,

Tulił ją długo w ciągłym jej szlochaniu,
 I z taką dumą, tak rad, wyszedł od niej!
 Chłopak co spieszył na zamek z torbanem
 Tak, koło okien przystrojonej sali,
 Ciemno, otwarcie, mówił z atamanem;
 Mówił, jak wiedział, jak mu nagadali.

XVIII.

Jeśli są słowa że, jak gromu ciosy,
 Niosą śmierć nagłą w najczerstwiejsze zdrowie:
 Czuł je Nebaba w tej chłopaka mowie.
 Jak szatan zgrozy najeża mu włosy:
 Jak, we mgle żółtej, wzrok jego słupieje:
 Niby dłoń śmierci za serce chwyciła,
 Taki po ciele zimny pot się leje,
 A lodem zda się stygnąć każda żyła.
 Usta mu drgają, kolano przykłęka,
 Tylko się, wierna, za nóż chwyta ręka.

XIX.

Śród gwarów tłumnych, śród blasku powodzi,
 Widać po ruchu tych cieni tysiąca,
 Które maluje ściana pałająca,
 Że już do sali weszli państwo młodzi.
 Po skrucie służby, po dźwięku talerzy,
 Widać, że młodzi siedli do wieczerzy.
 A teraz w kolej puszczone puhary;
 Bo tak powstali z miejsca godowniki,
 I tak zabrzmiały wiwatne okrzyki,

Aż echem wieków dzwoni zamek stary.
 Ucichło trochę; teraz, naprzemiany,
 Z wesołym śpiewem, słychać teorbany.

XX.

I nad dniewprowych silnym wód rozlewem
 Igrają wiatry ze dźwiękiem i śpiewem,
 W kolejne czarki napój się rozlewa;
 Snują się kołem rozpląsane grona,
 Aż ziemia, z głębi, ciężko przyhukiwa,
 Jak zadyszana poważna matrona.
 Ataman spieszy, burką obwinięty:
 Jak cień obłoku guany od wietrzyka;
 Minął już ulic spadzistych zakręty,
 Teraz, przez tłumy brzegiem się przemyka.
 Ni go bandurki, co brzęczą do skoku,
 Ani miłośne dumy zatrzymają:
 Z wiatrem u uszu, z ponurością w oku,
 Między ciekawą przemyka się zgrają.

XXI.

Czy-to cień jego po rzece żegluje?
 Że, mimo częstych, wikłanych obrotów,
 Tak nieodstępnie kozaka pilnuje,
 Jakby co chwila u brzegu być gotów.
 To pianę wirów gwałtowniej roztrąca,
 To igra wolniej w odbiciu miesiąca,
 To znów, spokojnie, na falach się wiesza;
 W prawy bok, w lewy, wprzód; w tył drogi miesiąca:

A pierś się jego nieozwie piosenką;
 Zcicha brzmi wiosło i pluska czółenko.
 Z pomiędzy nurtów, co miesiącem świecą,
 Tak się w nierównym polocie wydaje,
 Jak cień jastrzębia gdy, nad okolicą,
 Krąży, za łupem, przez podniebne kraje.

XXII.

Kozak w pochodzie razem się zatrzyma;
 Nadstawi ucho i strzeli oczyma:
 Za nim-to, za nim, złowrogie klaskanie!
 Więc razem w miejscu wstrzyma się i stanie,
 I rzecze zcicha: „Ha! szatańskie plemię!
 „Raz ty ostatni straszysz żywą ziemię!
 „Próżno przekłęci piekłem ciebie zbroją,
 „Skoro do skroni przyłożę pięść moją;
 „Chociażby wszyscy grozili wleźć we mnie,
 „Już ja się ciebie niedotknę daremnie!
 „Zaraz tu razem i z tobą ulecą;
 „Tylko chodź bliżej, tylko bliżej nieco!
 Otóż i marszem błysk oczu przymracza,
 Szyderskim śmiechem słodzi twarz surową;
 A tu, tymczasem burkę precz odtacza,
 I odwiedzioną trzyma pięść gotową.

XXIII.

Wesele Kseni musi być niemałe,
 Że, obleciawszy wokrag miasto całe,
 Znajduje wreszcie co tak długo szuka;

Wesele Kseni musi być niemałe,
 Bo raźniej skacze, bo donośniej huka;
 I, kłami piekła, dłonie larwy klaszczą,
 I oczy larwy skrzą się piekła paszczą.
 Jakże być wielkie musi jej wesele,
 Że bardziej zbliża krok i tak już bliski:
 Wszakże mu ona gotuje uściski:
 Widać w jej ruchach, widać to w jej oku.
 Kozak na wszystko odważa się śmieie;
 Nie zmruży powiek, nie cofnie się w kroku.
 Już, opętana, w konwulsyjnym rzucie,
 Ma w jego ustach złożyć ust swych czucie,
 Już chwyta szyję dłońmi wywiedłemi;
 Już..., i, omdlała, leży już na ziemi..
 Tylko, pod pięścią, skronie zachrupały,
 A na oblicze zdroje krwi buchały.
 „Ho-hop, szatanie, bierz teraz, co twoje!”
 Mruknął ataman, i szedł w drogę swoją.

XXIV.

„Tam, tam! gdzie widać ognie pod tą puszczą.
 „Do niej się kieruj; zawsze, zawsze do niej!
 „Tylko niech prędej twoje wiosło goni,
 „Tylko niech ciszej wody przy nas pluszczą.
 „Przeprawa trudna, a drogi czas krótki.
 „Ciszej, a prędej!” Tak kozak ostrzega
 Kiedy u brzegu wstępował do łódki,
 Kiedy pospiesznie odbijał od brzegu.
 Woda dniewprowa poważnie się toczy,
 Częstym całunkiem o pierś łódki pluska;

Na niespodzianej, na drżącej przezroczy,
 Łamie się księżyc, jak ognista łuska.
 Za lotnym dębem drobne wiry gonia;
 Nadbrzeżne echa dźwiękiem wiosła dzwonią,
 Jakby na zbiegłych żeglarzy wołały.
 Szybko, za niemi cofa się brzeg cały:
 Głuszej ich wrzawa dołata Kaniowa;
 Częściej po jarach światelko się chowa.
 Już i szum puszczy zawiął im donośnie.
 Cóż to, za nimi, coraz bardziej rośnie,
 Im bardziej, z brzegiem, umykają góry?
 Zamek-to rośnie; zna go wzrok ponury,
 Co jeszcze z łódki popatrzył ku niemu.

XXV.

O, jak wspaniały, za nocy zasłona,
 Jak rześnem światłem okna jego płoną!
 „Niech sobie płoną, niech i rześniej płoną!
 „Jak mnie dziś, jutro przyjdzie ciemno jemu!
 „Jutro, pojutrze zaświta inaczej!
 „Biedny kto mojej zapragnął rozpaczy!“
 Aż mu się piekłem krew zajęła cała,
 Aż mu się czapka od włosów podniosła,
 Od jego dreszczu aż się łódź zachwiała,
 Aż się obejrzał rybak co u wiosła,—
 Kiedy te myśli, jak piekła zarzewie,
 Przeszły piorunem przez Nebaby głowę,
 A to gdy światła obaczył zamkowe.
 Już gniew ostyga w kipiącym przelewie:
 Ale, jak piekiel mieszkańca zjawienie,

Choć zniknie, długo powietrze zaraża,
 Tak, choć przelotne, gniewu uniesienie
 Gorzkim jątrzeniem długo myśl rozżarza.
 „Lepiej ci było, moja pani miła,
 „Sto razy lepiej, jakim ci kochankiem!
 „Abyś, lat tysiąc, czerepianym (*)dzbankiem,
 „Tę wodę z rzeki dla siebie nosiła:
 „Lepiejby było, dla twej jasnej doli,
 „W grubej siermiędze, z nieochajnym chłopem,
 „O głodzie, chłodzie, pracując w niewoli,
 „Krwia się rozpływać nad nieswoim snopem,
 „A potem płakać, pod skopconym daszkiem,
 „Rano i wieczór, że twe białe ciało,
 „Od mrozu, skwaru, do krwi popadało:
 „Niż będąc tobą, pobracić się z Laszkiem!
 „Niż przespać jedną noc pod adamaszkiem!“
 Plusnęły o brzeg rozpedzone wały,
 Daleko naprzód chyża wbiegła łódka,
 Prędko kozaka dumy się przerwały,
 Prędko mu przeszła rozkosz zemsty krótka.
 Szkoda! bo wiele niosły mu ulżenia:
 Jęk, rozwaliny, trupy, krew, pożary;
 Są-to własności jak zemsty, tak chwały,
 Że najzgubniejsze, najdziksze marzenia
 W cnoty i szczęścia powaby ustroją:
 Tak, gdy chcą uwieść, kuszące nas mary
 Światłem aniołów barwią szpetność swoją.

(*) Glinianym

CZEŚĆ DRUGA.

I.

Spał świat głęboko, nocą otulony,
Obchodząc wartą ciemne człeka guiazdo,
W milczącej cześci, szła gwiazda za gwiazdą;
Niebo przez chmurne patrzyło zasłony:
Ucichły hasła, łańcuchy drzemały:
Jak martwe widmo, milczał zamek biały.
I młoda para, w małżeńskiej komnacie,
Na łożu pysznem, na snu majestacie,
Spoczęła mile wśród puchów zatopu
Osłonięgo w drogie adamaszki,
Co, fałdowane, wśród wiatrów igraszki,
Spływały na dół ze złotego stropu,
Ucichło wszystko pod zamku sklepieniem
Chyba sen tęskny ozwie się westchnieniem,
I wiatr, wysłany od nocy szyldwachem,
Smutnem jej hasłem zawyje pod gmachem.
A potem w okrąg milczenie na nowo;
Tylko, łagodnie, brzęk miły i głuchy,
Jakim powietrzne igrające duchy
Noc ożywiają, gra w ciszę zamkową.

II.

Któż-to zatętniał, stuknienież-to czyje
 Dało się słyszeć za drzwiami komnaty?
 Nie pierś to lubej żadnem sercem bije,
 Lecz goniec puka, od granicznej czaty.
 Dyszy pośpiechem, lica trwogą blade.
 „Wstań, panie rządco! ciepłe porzuć łeze:
 „Złe ci nowiny w tej chwili przywożę;
 „Wstań i posłuchaj i weź jaką radę
 „Oto nadbrzeżne słyszały dziś strażę,
 „Jak się po Dnieprze pluskały nie kaczkę
 „Jak coś nie ptakiem tłukło się w czaharze: (*)
 „Wyraźnie obóz przeprowiał się Szwaczki, (*)
 „Co aż dotychczas cicho stał za wodą.
 „Niechże się kokosz wywija przed szkodą,
 „Kiedy ją oczy jastrzębia obwiodą,
 „Zamek choć mocny, lecz osada mała,
 „Aby przed silnym szturmem się ostała,
 „Zwłaszcza, gdy razem przyjdzie bronić miasta;
 „Chociaż i w mieście złego coś wyrasta,
 „Bo już gotują i kosy i noże:
 „A nawet w zamku kto wie, co być może?
 „Zaradzić złemu, jak się tylko zjawia
 „Leć do starosty: on, wśród Bohusławia,
 „Poi gromady, rozstrzeliwa baby.
 „Niechaj tu przyśle posiłek choć słaby.

(*) Czahar: las drzew rozmaitego gatunku.

(*) Jestto prawdziwe nazwisko kaniowskiego mieszczanina, który także robił powstanie w r. 1768. Przep. aut.)

„Leć nim rozświta, nim się zamek dowie;
 „A my tu będziemy na wszystko gotowi.“

III.

Nie mylne wieści, nie fałszywe trwogi:
 Szwaczki-to obóz, nie w dobrym zamiarze,
 Pluskał po Dnieprze, tłukł się po czaharze,
 Gdzie, w ciasnym łożu skreconej odnogi,
 Wrzący nurt Rusi i błyska i pluszcze,
 A wiatr pobrzeżną oszczekiwa puszcze
 A w niej gwar dziki klekoce ponuro,
 A mgła kłębata, co ciemnieje górą
 Nad jej sklepieniem, wkrąg się już rozwlekła,—
 Jakby tam anioł śmierci i zagłady
 Warzył, dla ziemi, nad płomieniem piekła,
 Wszystkie domowych zaburzeń szkarady;
 Nie darmo czujne pałają ogniska,
 I jacyś zbrojni leżą u płomieni,
 Gdy wieńce borów zrywa wiatr jesieni,
 A szron sędziwy na darniach połyska.
 Choć leżeć oni zdają się spokojnie,
 Ach, krwi-to dzieci, i myślą o wojnie!
 Noże u pasów, ich czoła w kołpakach;
 Dłonie na nożach, choć oczy usnięte;
 Do pik utkwionych rumaki przypięte,
 A, dniem i nocą, siodła na rumakach.

IV.

A jeden kozak, na ustawnej straży,
 Niezgasły ogień, czasami rozzarzy,

I na swą pikę wspiera się bezwładnie.
 Słucha i patrzy. Nic, w tym puszczy mroku,
 Nie ujdzie jęgo ni ucha, ni wzroku:
 Niech strzępek szronu na uschły liść padnie,
 Niechaj ptak kłaśnie gałęzią zdaleka,
 Niech pies w dalekim futorze (*) zaszczeka, —
 Już on to schwycił w gwarnym borów szumie,
 I pochwycone, wnet rozróżnić umie.
 I znowu oko zwrócił do ogniska,
 I znowu piką poprawił płomienia:
 Kłębią się dymy, czerwony żar pryska,
 Rośnie wał ognia, noc się zarumienia.
 Pośród bijącej krwawej łuną fali,
 Jak mgliste duchy, cienie drzew się kładą;
 Dalej, noc czarna; tylko, w ciemnej dali,
 Jakby zaklętą rozsiany gromadą,
 Bezwładny obóz groźnym snem usypia:
 Tam się błysk stosu ostrza piki czepia:
 Tu wpół-dobyty nóż czasem zabłyska —
 Jak rozdrażnionej gadziny oczyska,
 Gdzieniegdzie znowu z pod burki kosmatej,
 Sen niespokojny wychylił pół twarzy,
 I przez sen widać, co każda z nich marzy,
 To z brwiów marszczonych, to z wargi wąsatej:
 Na tej śmiech dziki, klnące słowa na tej.
 A tam, przyjaciel i wierny, choć panu
 Koń, ułożony tuż pod pana bokiem,

*) Futor: zagroda na łące, lub pośród lasu w pewnym oddaleniu od wioski.

Strzeli niekiedy przebudzonem okiem,
 Niby kochanie wśród świata tumanu.
 W samej cichości, obraz niespokojny
 Nadzieją mordów kołysanej wojny.

V.

Tam, gdzie dąb grubszy i stos pełniej płonie,
 Dwóch tam usiadło, a przy nich dwa konie.
 Po tym wytwornym atamańskim stroju,
 Co, drogiem złotem, czasami, odbłyska
 Nagle, nierówne spojrzenie ogniska
 Po tej postaci złożonej do boju;
 Po wąsie w czarne puszczonej pokręty;
 Po dumie czoła, po oblicza krasie;—
 Mściwy Nebaba zaraz poznać da się.
 W milczeniu, siedział, burką w pół opięty;
 Spokojnie trzymał lewicę za pasem,
 I głównie noża pogłaskiwał czasem.
 „Nożu mój, nożu! błyskasz do mnie próżno,
 „I próżno, widzę, naostrzyłem ciebie;
 „Inni swój snopek w naszym polu uznają,
 „Nim pospieszymy z tobą ku potrzebie:
 „I wprzód rdza ciebie, wprzód ja ciebie strawię,
 „Niżeli, w męskiej z niewiarą przeprawię,
 „Ducha radością, ciebie krwią oplawię!“
 Tak mówił kozak, potrząsając głową;
 I z nocnej rosy, otarł noża ostrze:
 Ale wejrzenie nagłe, od słów prostsze,
 Wydaje komu przyciął tą przemową.

VI.

Naprzeciw niego, jak odbłask poczwarny
 W chropawem lustrze, siedział kozak drugi:
 Na pierś obrosłą zwieszał się wąs długi,
 Całe pół twarzy ściągał mu szram czarny;
 A chociaż czoło starością bieląło,
 Młody rumieniec zalewał twarz całą;
 A, choć ogniste, ledwo iskrzy oko,
 W zatylej twarzy tak siedzi głęboko.
 To Szwaczka. Pierwszy śród mieszczan Kaniowa,
 Choć często, w ucztach, kręci mu się głowa,
 I ciałem ciężki, i wiek długi liczy,
 Ale ma piętno rozbojów na Siczy,
 Ale od Lachów z dumy, obrzydzony,
 I dumy Lachów, zwie się wrogiem śmieje:
 Więc chętnie stanął na powstańców czele,
 I atamanem chętnie okrzykniony.
 Zdaje się jednak, że (czy brak zapалу,
 Czy że kielichem zbyt się rozgrzewa)
 Więcej, niżeli przystoi, spoczywa;
 A tu kozactwo zraża się pomału;
 Częściej i głośniej słyhać między tłokiem:
 „Czemu nie idzie w zamek, co pod bokiem?
 „Czemu, gdy świeżo, z Żelezniakiem Gonta
 „Zawieść hulankę uspieli tak rączo, —
 „On tylko, gnuśny, myślą się zaprzęta,
 „Złączyć się z nimi? Czemuż się nie łączą?“
 I nic nie wiedzieć; korzyść badań zwykła:

Bo, przez natrętne naglony pytanie,
 Jak zacznie szukać mową w pełnym dzbanie,
 Uśnie wprzód z tajnią, nim język wywikła.

VII.

Niewiele tknął się Nebaby żałobą,
 Bo już nadpity dzbanek miał przed sobą:
 Jak nie swojemi popatrzył oczami,
 Poważnym śmiechem kilka razy chrząknął;
 Uderzył w ogień,—gdy prysło iskrami;
 W pół-dosłyszczanym językiem przebaknął:
 „Widzisz te iskry, słuchaj, atamanie!
 „Kto chce szczęśliwym zostać przez kochanie,
 „Kto zrobić stałem chce serce kobiece,
 „Niechaj się lepiej zakopie w tej dziczy,
 „I liczy iskry, te wszystkie niech liczy,
 „Zapomnij z biesem o twojej Orlice!”
 — „Już ja się pewno toi *) nie napiję,
 „Aby mi serce wyzdrowiało chore,
 „Ani mi rady potrzebne tu czyje!”
 I szydnym gniewem wzrok Nebaby gore.
 „Czy jest na świecie Orlika czy nie ma,
 „Co nam do tego: dla nas bliska zima;
 „My puszcz tułacze, Polacy przed nami:
 „Patrzaj na burki, patrz koniom na grzywę,—
 „Jak twoja głowa, wszystko szronem siwe!

*) Toja; u botaników, tojad mordownik. Własności jego narkotyczne uważa lud pospolity za lekarstwo na smutki.

„Słuchaj, kozacy jak sieką zębami!
 „Bo, biedni, nawet nie mają i tego,
 „Czem ich ataman tak często się grzeje;
 „I głód ich strawi, i wicher zawieje,
 „I jak po swoich Polacy tu zbiegą.
 „I sami, z głodu, poczekawszy trochę,
 „Wleczą w sidelka, jak ptaszyny płochel
 „Niż grzać się w zamku, czyż to będzie lepsze,
 „Płynąć, bez chęci, popod lodem w Dnieprze?
 „Albo z gałęzi poglądać w obłoki,
 „I, z każdym wiatrem, straszyć w gniazdach sroki?”
 A Szwaczka, ognia poprawiwszy piką,
 Ode dna flaszki bełknął głuchym łykiem,
 I nieposłusznym zaczął coś językiem.
 Oko Nebaby zasepione dziko.
 Kiedy się serce zachmurzy urażą,
 Wzrok wtedy błyskiem, piorunem żelazo!
 I biada chmurze, co chce być przeszkodą:
 Popruta, zbita, rozplynie się wodą.
 A ogień gniewu przejął go aż w szpiku!
 Szwaczka przemówić na nowo się musiał,
 Lecz znowu słowa zaplątał w języku;
 Tylko poważnym śmiechem się zakrztusił.
 Tu oczy zwolna w powiekach zagasty,
 Na obie strony powoli się skłania;
 Aż razem tułów przewalił ospały.
 Że jeszcze żyje, znać z jego chrapania.
 Długo Nebaba, po cielsku szerokim,
 Spojrzeniem wzgardy błędne koła pisak;
 Długo szum boru myśl jego kołysał:

Nim, w walce uczuć, ozwał się wyrokiem:
 „Trzech djabłów synu, przebrzydły opilcze!
 „I tobież dzielną przewodzić młodzieżą?
 „Chyba mię sami szatani ucieżą?
 „Że cię tu zęby nie skosztują wilcze,
 „I w bramy zamku twe pięście uderzą!”
 A jakby żądło piekła go ubodło,
 Porwał się nagle i skoczył na siodło.

VIII.

Nie drzymie szyldwach, płomienie ocuca:
 A wiatr jesienny gałęzie mu rzuca. —
 I znów, jak usnął, wśród drzewa umilka.
 Gdzieś tam daleko śpiewa kur przed świtem, —
 Dalej i głuszej słycać wycie wilka,
 Bliżej Roś pluska kręconem korytem, —
 Niby sen cichy tej strony kołysze.
 Co za świst przykry budzi lasów ciszę?
 Jak dziki wicher ocucony w borze,
 Takim zakipiał cały obóz gwarem;
 Jako gdy wicher zaiskrzy pożarem,
 Tak zaiskrzyły w krąg piki i noże;
 Kiedy, na nagłe pogwizdzenie trwogi,
 Spłoszony obóz porwał się na nogi.
 Jeszcze gwizdzenie: w oka mgnieniu po niem,
 Wszystkie kopyta z miejsca zatętniały,
 I ciasnem kołem stanął obóz cały
 Gdzie widmo jeźdca mgli się karym koniem.

IX.

„Co to, Nebabo?“ Zaraz go poznali:

Bo któżby z koniem wydał się wspaniałej?

„Co to za trwoga?“ z obawą spytali.

„Chcę was pożegnać, bo już ruszam dalej.

„Niech-że to dla was nie będzie niemilem,

„Że trwogi niema, a ja ją wzbudziłem.

„Lecz, jeżeli macie i serce i głowę,

„To nie będziecie na mą głusi mowę.”

Tu go młodź w węższe otoczyła koło;

Bo się patrzyła i słuchała rada:

Jak mężstwem, dumne rozpromienia czoło;

Jak w szczerzej mowie, śmiałem sercem gada.

„Nie myślę długo przed wami ja prawić,

„Co mię przymusza was, bracia, zostawić.”

Zaczął Nebaba. Wyrosły śród czerni,

Zna jej umysły i wzruszać je umie;

I tak przystało mówić jego dumie:

„Atamanowi swemu bądźcie wierni;

„Przy nim tak dobrze można tutaj drżymać!

„A ja nie mogę dłużej z wami trzymać,

„I ziewać z wami: ja jeszcze skłuć mogę

„Choć z kilku Lachów, ehoć dwór jeden złupić:

„Wtedy mi będzie przyjemniej się upić!

„To was i żegnam, i ruszam w swą drogę.”

Ostra przymówka dopięła zamiaru.

Mruk dobrej wróżby, podobny do gwaru

Pierwszego lodu, gdy go łamią fale,

Obiegać począł zawstydzoną zgrają.

Nebaba ciągnąc mowy nie przestaje:
 „Odstąpić Szwaczki ja nie radzę wcale.
 „Gdy tak wygodnie przy tym atamanie,
 „Któż ze mną pójdzie, a z nim nie zostanie?
 „Sam więc pośpieszę, gdzie mię niosą oczy,
 „Żwawszych do dzieła znaleźć towarzyszy;
 „Jednak co powiem, niech z was każdy słyszy.
 „I, gdy mu zda się, niech naprzód wyskoczy.
 „Komu różgami ojciec zasieczony,
 „Czyja się panu podobała żona,
 „Komu najmilsza córka pogwałcona,
 „Kogo zbawiono lubej narzeczonej,
 „Na ojca boleść, na smutek matczyny,
 „Na hańbę dzieci, na łaskę dziewczyny. —
 „Tego zaklinam, wołam po imieniu,
 „Niechaj wyjedzie i stanie tu przy mnie!”
 I tłum orężny mięszać się poczyna,
 Jak zakłócona dmuchem wiatru trzcina.
 „Kto w pańskim za to umierał więzieniu,
 „Że jak pies podły o głodzie i zimnie
 „Dla usług jego przemarnował lata;
 „Kogo najdroższa boli przezto strata,
 „Kto chce odemścić te krzywdy, te zbrodnie
 „I tylko sobie odtąd żyć swobodnie,
 „Zaklinam tego, na zemstę, swobodę,
 „Niech idzie zaraz, gdzie ja go powiodę!
 Tłum wre nieładem, gwar nieładu rośnie:
 Postrzegł Nebaba, jak wybór ochoczy,
 W gęstszych szeregach dokoła się tłoczy;
 ▲ więc, z tryumfem, zawołał donośnie:

„Teraz, kto tylko mołojca ma duszę,
 „Kto się chce ogrzać przy zamku pożarze,
 „Kto chce oplukać pikę w polskiej jusze,
 „Kto chce zaśpiewać przy pańskim puharze, —
 „Idźcie do zamku! Ja drogę pokażę!”

A oko jego, jakby bitwy hasło,
 Nagle, w każdego zabłyszczało oku:
 „Wszyscy my, wszyscy, do Nebaby boku!
 Wrzące kozactwo dzikim tonem wrzasło.
 Podobny odgłos wędrowca krew ziębi,
 Gdy go wilczyca zwietrzywszy w puszczy głębi,
 Przeciagle wyciem ozwie się ponurem,
 A za nią głodni zalotnicy chórem.
 I razem głębie zastękały ziemi
 Pod rumakami ciężko tętniącemi:
 I długo, długo wrzało nieprzerwanie,
 A coraz ciszej, i koni chrapanie,
 I chrzęst oręża, i stękanie ziemi;
 A ognie straży konały za nimi,
 A echa puszczy wołały za nimi,
 Kiedy huknęli piosenkę pochodu
 Nowemu wódcy, co harcował z przodu.

X.

Pośród puszczy gęstwy, pośród jarów cieśni,
 Mściwy Nebaba swoje szyki wiedzie.
 Jak czuł koń jego, że na wszystkich przedzie!
 Jak w piersiach jeźdźca, rozigrane serce
 Dzikiej wojennej wtórowało pieśni!

Kiedy myślami w przyszłość uniesiony,
 Pożary w każdej dostrzegał iskierce,
 Co błyska za nim, skoro lustro stali
 Od miesięcznego oka się zapali;
 Kiedy zwyciężkie odgadywał tony
 W dzikich odgłosach wojennego pienia!
 „Stójcie!” Od wschodu dzień się zapłomienia.
 Księżyc rumiany, niby się krwią zbroczył,
 W posępne chmury, jak do śmierci łoża
 Na cichych ranku wiatrach się zatoczył,
 I jak złej wieszczby wyszła drżąca zorza.
 „Stójcie! Słów kilka”. Tu zemsty drużyna,
 Wkrąg, atamana zawinęła kołem,
 Gdzie się okrągli bezdrzewna równina.
 Śród ramion boru i przed boru czołem.
 „Baczność! Coś wichrem zaszumiło w lesie.
 „Jeden-to z naszych gęstwą się przerzyna.”
 Pilnował skrzydła. Jakież wieści niesie?
 Jego pierś robi, jego biegun w pianie.
 Między drzew szumem słyszał otrąbienie.
 Czyżby Polacy tak blisko być mieli?
 „Wytrwałość, dzieci! Bądźcie tylko śmieli,
 „Naszem to będzie, co mamy przed nami,
 „Pod samem miastem, ten bajrak, *) czy wiecie,
 „Co się rozrasta pomiędzy jarami?..
 „Tam do godziny zmierzchu doleżycie.
 „Ja później będę, skoro do wieczery
 „Wezwie nas gwiazda, co w zamku na wieży!

*) Bajrak: lasek zarosły wśród wąwozów. P. W.

„No! w imię trójcy! ruszaj, gdzie kto może!“
 Jak w tuman iskier rozdęte płomienie,
 Jak śpiących nagle przerwane widzenie, —
 Tak razem zgasli zwinni jezdcy w borze:
 Tu się w promieni tysiąc rozskoczyli,
 Tu, między pniami, jeszcze majaczyli,
 A tu i śladu po żadnym już nie ma;
 Niby zaklętych pochłonęły drzewa
 Przed śmiertelnego słabemi oczyma:
 Pusto,—sam tylko duch boru powiewa.
 A za nim nagie klaskają konary;
 Pod niemi rumak majaczeje kary;
 A za nim jezdziec pręży pilne ucho:
 Z tej strony trąbka zdaje się grać głucho;
 Lecz głuchszy jeszcze słyhać dźwięk z tej strony
 Ranne go wiatry krętym jarem *) wloką.
 Jezdziec posłuchał, pomyślał głęboko:
 Jak mu nie poznać! To kaniowskie dzwony
 Szczęśliwą wieszczbą do niego mówiły.
 Razem się pomknął w sklepienia milczące;
 Wnet drzew sklepienia czczością się zaćmiły:
 Jeszcze, przez chwilę, echa w czczości były:
 Lecz go już teraz nie znajdzie i słońce.

XI.

Ponuro echa okoliczne trąca
 Zamkowa trąba, wieczór witająca,

*) Jar: wawóz. P. W.

Gromadząc zbrojnych na modły wieczorne.
 Wielkiem kościoła natury sklepieniem,
 Już, już gdzieniegdzie, lampy wieków płoną.
 Odkryto głowy, bronie opuszczono,
 Utkwiono w ziemię spojrzenia pokorne,
 Słów uroczystych słuchano z milczeniem.
 „Amen!“ i „amen“ powtórzono z skruchą.
 Echa zamkowe ozwały się głucho:
 „Amen.“ Ich „amen“ tak smutny, niemiły,
 Jakby go po raz ostatni odbiły.
 Zagrział ryk działa, i skonał wśród boru.
 Na wieży ogień zajął się strażniczy.
 Milczący szyldwach ciche kroki liczy.
 Po oknach, błysły światełka wieczoru.
 Mile zamkowa służebna drużyna
 Wieczór, niestety, ostatni! zaczyna.
 Jak błysk jej światła, ciche jej wesele
 Kiedy zasiędzie każda przy swem dziele,
 O, co za rozkosz obejrzeć te grona,
 Gdy, za prababek, bawiły się pracą:
 Tu, gazy blaskiem złota się bogacą,
 Jak biała zima, mrozem uiskrzona:
 Tam, czarodziejka, u krosien schylona,
 Tchu nie da słyszeć, nie zwróci spojrzenia, —
 I trzeba wierzyć, widząc jej oblicze,
 Że blask tych oczu, to tchnienie dziewicze,
 Cudowną władzą, kwiat wiosny rozplenia.
 W jej białych rękach, drut jasny i gładki,
 Wydaje, w mgnieniu, różnowzore siatki,
 Niby od wiatrów i z wiatrów tworzone,

Tak są przejrzyste i lekkie jak one.
 A tutaj okrąg głośniejszej roboty:
 Tutaj burzliwe furczą kołowroty,
 Tutaj wrzecziono, ze lnami miękkimi,
 Brzmieje nieznacznie, i gwizdże po ziemi.
 A pienie, w prostej, melodyjnej nucie,
 Lube jak pierwsze miłości uczucie,
 Ciche jak łono co nie zna kochania,
 Tęskne jak pamięć rodzinnej zagrody,
 Pełne z tem miejscem, z tą godziną, zgody,
 Sferą harmonji urok ich osłania.

XII.

Czy nie po panu zatęskniła pani?
 Że między niemi, a nie kwitnie na niej
 Ta, co na wszystkich kwitnie w pełni, radość:
 Słabość w jej oku, w jej obliczu bladeść.
 Jak chmur odbicie z mokrego dna stoku,
 Wyziera dusza z poza łez w jej oku.
 Cerę co zgasła, wargę co pobladła,
 Z milczącą skargą, mgłą serca osiadła.
 Czy się kto kiedy przypatrzył gangrenie?
 Jak utajona tłac w serca głębinie,
 Na trupiem ciele wyjdzie małą plamą,
 Jak coraz szerzej, coraz ciemniej mgleje,
 Aż stosu śmierci dymem twarz odzieje —
 Z młodej rządczyni smutkami toż samo:
 Przez nieme wargi, przez ciemne spojrzenia,
 W mgłach coraz grubszych widać jak się wloką;

A choć pierś westchnień, a łez pełne oko,
 Jakby walczyły z nimi pierś i oko,
 To łez nie puszcza, to więzi westchnienia.
 Ach! pierwsza rozkosz tak bardzo nie zmienia!
 Nie gasi jagód, nie mrozi spojżenia.
 Żalobą duszy czoła nie ubiera,
 Ciężkiem westchnieniem piersi nie zapiera;
 Ach! pierwsza rozkosz, w lubego objęciu,
 Kiedy kochana i kocha, dziewczęciu
 Daje czuć duszę życia anielskiego.
 Lecz kiedy słabą, żądze gwałtu zbiegą,
 I co drugiemu sobie wypieszczono,
 W zmierzłej lubości, obca rozkosz skradnie,
 Piekło natenczas wciska się tam zdradnie,
 I, śmierć zapładnia oblubieńcze łono.
 Może, uważną pracą zaprzątnięta,
 Zapomni smutku: usiadła za krośna:
 Może miłośna, może pieśń żalłośna,
 Posępną dumą utuli natręta,
 Jak się utula pieszczoszek wrzaskliwy:
 Dobre dziewczęta rozpoczęły śpiewy.
 Już na źrenicy łezka zabłysnęła.
 Zbiera się, zbiera, toczy, i stanęła;
 Jakby z pogodą igrać jej niemiło,
 Jakby ją zimno smutku zamroziło.
 Już dłużej swego ciężaru nie wstrzyma:
 Powstała z miejsca; lecz tak martwa cała,
 I znów stanęła z takimi oczyma,
 Jakby się, w izbie, obłędu lękała.
 Wlecze, mdlejąca, zwolna krok rozchwiany,

I obcym rzutem ciska się do ściany.
 U okna przecie. Nadstawiła ucha:
 Niby jej wietrzyk, co przez szyby dmucha,
 Niósł od przyjaźni słowa pociech miłe;
 Powoli widać w poruszeniach siłę,
 Promyk nadziei w spojrzenia światełku,
 Tęcza radości mgiła się z jej czoła.
 Żle z nagłą zmianą! Pojrzała dokoła,
 A wszystko przed nią w rozpacz i zgiełku.

XIII.

Już, po Kaniowie, straszna wieść latała:
 Jak się wzburzyła Ukraina cała,
 Jak, zdradą Gonty, dobyto Humania,
 Ile tam mordów, ile krwi rozlania;
 Jak samo Lachów zda się ścigać piekło.
 A nigdzie schrony przed czernią zacieklą.
 Skoro, wieczorem, powstały tumany
 Od nasepionej strony Zaporozża,
 I mglistą bielą osłonią, zorza,
 Z różgą komety, jak lampa złej doli,
 Gasnąć w obłokach zaczęła powoli:
 Zdwoił się, w mieście, przestrach niesłychany:
 Głuszej się zdały bełtać Dniepru szumy,
 Jęczyć okropniej wichry Ukrainy,
 I groźniej ciemnieć sklepienia dębiny.
 Jak po cmentarzu, nieme duchów tłumy,
 Snują się milczkiem, po ulicach miasta,
 Tłumy mieszkańców trwogą omroczone;

A wieszczba klęski w którą pojrzysz stronę!
 Tam dziecię pyta: skąd ten tuman wzrasta,
 I w takie kształty mięsza się olbrzymie,
 Jak Lucyfera wojsko w piekła dymie?
 Cytnęła matka; wywróżyć się lęka.
 Dwóch się przyjaciół zbiegła oto ręka, —
 I zimno śmierci ich uściski ziębi.
 Dwojga kochanków spotkało się oko, —
 I męty śmierci widać w spojrzeń głębi,
 I jęki śmierci z westchnieniem się wloką.
 A topielnicy skrwawione widziadło,
 W skrwawionej szacie, ze skronią rozpadłą,
 Ciągłe Kaniowa przelatuje bruki,
 W dziwniejszych ruchach, z dziwniejszemi huki:
 Jak co się wyrwał z łona ziemi matki,
 Nieprzetoczone unosząc ostatki:
 Bo, jak nad trupem, krążą nad nią kruki.

XIV.

Z rękami w niebo, płakał lud skruszony.
 Śród poświęconych sklepień Wszechmocnego:
 Ściany świątyni wtórzyły płacz jego.
 Księża śpiewali pokutnemi tony.
 Kaniowskich dzwonnice jęczały wciąż dzwony.
 W każdym ołtarzu światła wciąż pałały,
 Nieocenione słano zewsząd wota,
 Z drogich kamieni, ze szczerzego złota.
 Wielkie ofiary, bo i strach niemały:
 Płakali wierni, płakali niewierni.

Wprzódki niżeli noc barwy poczerni;
 Dzieci Solimy przed arką bożnicy,
 Bez płci różnicy, bez wieku różnicy,
 Upadli na twarz, w pogrzebowej bieli,
 Jakby od gniewu bożego olsnęli,
 I, w pyłe ziemi czoło ponurzywszy,
 Podnieśli głucho lament, żałośliwszy
 Niżli go słyszał świata wiek daleki,
 Na obcych brzegach babilońskiej rzeki.
 I łzy Dawida z ich się ocz połwały.
 Szczerze to płacze, bo i strach nie mały!...

XV.

Długo, zbyt długo, myślom zostawiona,
 Stała u okna młoda rządcy żona.
 Czy nie zły wicher szeptał ci, Orliko?
 Masz w oczach radość, ale radość dziką.
 Ciężkie westchnienie na łono stoczyła;
 Jakby w obawie, aby skrytość cała,
 Którąś w milczeniu tak długim warzyła,
 Wcześniej przestraszyć świata nie zechciała.
 „Ho-ha!” bicz klasnął, brzęknęły łańcuchy,
 Opadły mosty, bruk zagrzmiał, bicz klaska,
 Rośnie po zamku, zbliża się grzmot głuchy:
 „Ho-ha!” bicz klasnął, stanęła kolaska.
 Raduj się, zamku! rządcą wesół wrócił;
 Widać, że drogę prędką jazdą krócił,
 Bo z wszystkich koni tak się opar dymi.
 Ale z wieściami powrócił dobrémi.

Skoro pomówił z kaniowskim starostą,
 Wnet wyprawiono dwa oddziały naraz:
 Jeden z nich Szwaczkę miał otoczyć zaraz,
 A drugi ciągnie do Kaniowa prosto.
 Pan wojewoda z Gontą kończy dzieło;
 Wkoło, szubienic stawia tysiącami:
 Opatrzne oko zeszło już nad nami,
 By kres bezbożnej swawoli wytknęło:
 Jemu więc, do snu, ufnie zdajcie życie,
 I w łoża wasze wstępujcie spokojnie:
 Bo w świetle szczęścia oczy otworzycie;
 Zaśniecie z wojną, wstaniecie po wojnie!
 Otóż i nowy goniec pędem zmierza.
 Coraz pomyślniej. Przybiega z oddziału,
 Co krążył Szwaczkę u Rosi nadbrzeża:
 Bez hasła bitwy, bez jednego strzału
 Znikł on z obozem, — jakby wpadł do ziemi;
 I tak bez śladu, że nasi, zdumiali,
 Już nie wiedzieli, gdzie go szukać dalej.
 Aż go odkryto między lasy temi:
 I wkrótce przyjdzie do rozprawy z nimi.
 Lecz męstwu naszych można ufać śmieie,
 Że to spotkanie kres położy wojnie.
 Więc dzwony, działa niech głośzą wesele!
 A zamek z miastem zasypia spokojnie.

XVI.

Już, w głuchej nocy opóźnioną porą,
 Przyćmiona lampa słabo się rozżarza;

Tak po miesiącu, okna różnowzore
 Błyszcą w kaplicy pośrodku cmentarza.
 Łoże małżeńskie, zapłonione blade
 Światłem, co mdlało, buchało, znów mdlało,
 Tak się, w półcieniach, dziko wydawało,
 Jakby to łoże, gdzie umarłych kładą.
 Po dniowym trudzie małżonek spi mocno:
 Zmrużonem okiem po co żona czuje?
 Czy, jak duch dobry, jego snu pilnuje?
 Zegar wybija dwunastą północną.
 — „Czego to, gdzie to dzwony uderzyły?
 Porwał się nagle rządcą przebudzony.
 — „Zdawało się tobie; to zegaru dzwony.“
 I oczy rządcy znów się snem zakryły.
 Ale, poczwara, przecucie złowrogie
 Pod snu zasłony złośliwie się wkrada,
 I, z bezzasadnych cierpień duszy rada,
 Niewieścią w mężu ciągle budzi trwogę.
 — „Czego to trąby tak nagle zagrały?
 — „Ach, pan Bóg z tobą! świat, jak umarł cały,
 „To zabręczczała mucha obudzona.“
 I znów, od zmysłów popłoszone zgiełku,
 Cichnące czucia wróciły do łona;
 Tak zgraja piskłat, od kani spłoszona,
 Tuli się ufnie w matczynem skrzydełku.
 Usnął. Rządcejni wciąż mruga powieka:
 Jak góra westchnień ciężkie dla niej łono;
 I serce rwie się, jakby je męczono;
 I pot gwałtownych miotań ją ocieka.
 Cóż to tak przykro podrażnia jej oczy

Czegoż pot mdłości z jej się lica toczy!
 Jakaż na pierś jej mogiła się tłoczy?
 Czy to nie szatan igra z nią w bezesnie,
 By owoc, którym pierś przeklętą płodni,
 Wykołysany jej myślami wczesnie,
 Staął dojrzały na skinienie zbrodni?
 Jaśniej i jaśniej błyszcząca źrenica,
 Razem w powiece pełno się rozświeca.
 Podniosła głowę;... wyżej, jeszcze wyżej.
 Zyzem nasamprzód przeszyla śpiącego;
 Potem swe oczy do ócz męża zbliży,
 I długo, trwoźnie, bada ruchów jego:
 Ostrożną ręką serca w piersi bada:
 Na piersi jedna, skryta druga ręka.
 Patrzy na oczy, wstaje i usiada.
 Znalazła serce, wstaje i uklęka.
 Mignęła w rękę błyszczącym żelazem.
 Mąż się obudził i zawołał razem:
 „O jakże sny mię strwożyły niemiło!
 „Jakby się razem w zamku zapaliło,
 „Taką mniemałem widzieć błyskawicę.
 „A twoje czego tak błędzą źrenice?
 „Ciebie zmieszalo moje pomięszanie.
 „Był to sen tylko. Prawda, sen niemiły;
 „Ale te myśli, co mię w dzień kłóciły,
 „Wróciły na noc. Śpij już, śpij, kochanie.“
 A więc usnęli. Biada temu, biada:
 Kto, nazbyt ufny w trwoźną cnotę ludzi,
 Przy swoim sercu, w swem łożu układa
 Serce zatrute śmiertelną obrazą.

Usnął; a w ręku małżonki żelazo.
 Bóg-że wie kiedy i gdzie się obudzi:

XVII.

Pono nie we śnie rządcy były dzwony,
 Nie we śnie rządcy trąby grały głośno,
 Nie we śnie rządcy płonęły pożary:
 Trudno jest poznać śród nocy zgęszczonej,
 Ale nad miastem, jakieś dymy rosną
 I, zasłyszane, wrą tam jakieś gwary.
 „Czy zaraz każde ma trwożyć zjawisko?
 „Milczenie nocy jest nocy kapłanką,
 „Milczenie nocy jest marzeń kochanką,
 „W niemem jej łonie próżnych mar siedlisko.
 „Com wziął za oręż, za tentnienie koni,
 „Ani to konie, ani błysk oręży.“
 Szydłwach zamkowy, gdy oko snem cięży,
 Tak sobie myślał, i usnął na broni.
 Lecz zawsze błyska, lecz zawsze coś dzwoni,
 Niby blask stali, niby tentent koni:
 I coś się wznosi podobne do huk, —
 Tutaj przed zamkiem, a tu już po bruku.
 Razem zagrzmiało, wrzasło zabręczęczało:
 Zginałeś zamku! Piekło się zaśmiało!
 Bramy rozbite, straż wycięta w chwili;
 A hajdamacy w zamek się wtoczyli
 I, w tejże chwili, srogość rzezi cała,
 Z blaskiem pożaru, wkoło się rozlała.
 Śród nocnej ciszy, wściekłych wrzasków wrzenie

Tentent konnicy, brzęk broni, dział grzmienie,
 Łupanych murów, baszt rąbanych trzaski,
 Krwawe maskary widne z każdej strony,
 Pożogi wiatrem rozdymane blaski,
 Czarny sklep nieba łunem zakrwawiony,
 Dzwony kaniowskie jęczące donośnie, —
 Wszystko to razem wszczeło się i rośnie:
 A głos watażki *) ryczy nieprzerwanie,
 Wszakże to nie jest Nebaby wołanie.

XVIII.

Tak drogiej chwili piekło mu zazdrości;
 Żart sobie z jego zrobiło wściekłości,
 Biesiadę w zamku Szwacze przeznaczyło,
 Już wojsko zbiegłe tentniało daleko,
 Gdy mu się oko we śnie wytrzeźwiło
 I zabłyszczało pod wążką powieką.
 Jakże się ciężko, jak wściekle zadumiał:
 Gdy się sam ujrzał na tę puszcę całą?
 Dziełem to czarów z początku rozumiał:
 Żegnał się, żegnał;—nic nie pomagało,
 Teraz jak było poznał rzeczywiście:
 I wnet pogonią chciał lecieć za nimi;
 Ale mu śladu nie da zwiędłe liście.
 Więc się drogami puścił pewniejszemi;
 Wprost do Kaniowa. Skrycie tam przybyły,
 Dla wrzącej czerni był-to gość zbyt miły.

*) Watażka herszt.

Bez trudu, krwawe uścił zamysły;
 A wiódł rzecz swoją tak skrycie, tak śmieie,
 Że skoro zorza północne zablęsy,
 Już go ujrzano na powstańców czele:
 I bramy zamku pod szturmem rozprysły!
 A tak, i na tych co go odstąpili,
 I na Polakach, mści się w jednej chwili.

XIX.

„Hej, dzieci! dalej na pańskie komnaty!”
 Ryknęły, miedzią, atamańskie płuca.
 A jak grzmot działa gradem śmierci rzuca,
 Tak czerń rozjadła rzuciła się tłumem,
 Z piskiem wściekłości, z główni skrzących szumem,
 Na drzwi, na dachy, na ściany, na kraty.
 A stare echo zawyło z przestrichu,
 Kiedy po całym rozleli się gmachu,
 Drzwiami, oknami, wyłomami dachu.
 „A teraz, dzieci, na rządcy pokoje!”
 „On, widzę, zamknął przed nami drzwi swojej!”
 Ale jak siłą, poparli drzwi, całą,
 Runęły, z dźwiękiem przykrego gwizdzenia, —
 Jakby je żywcem wyrwano z korzenia.
 Czemuż ten kozak co wprzód skoczył śmiało,
 Jak śmiało skoczył, tak się cofnął z trwogą?
 Cóż-to ma znaczyć ta w ciele djablica?
 Ona nie słyszy, nie widzi nikogo:
 Takie spokojne jej oko i lica:

Przed nią trup leży w rozrzuconem łożu;
W ręku nóż trzyma, krew pieni po nożu;
A na niej całej skrwawiona koszula:
Ona ją bieże, macza w trupa ranę,
I zmie ją niby, i niby wypiera,
Potem martwego pościelą otula,
Wymawia scicha słowa ucinane,
Zbroczonem płótnem cała się wyciera,
I, wolnym krokiem, idzie do zwierciadła.
Stała, z lampą w ręce konającą;
Spokojna,—tylko oczy się jej mącą,
Czerń rozjuszona właśnie wtedy wpadła
Gdy, w tej postaci, stała u zwierciadła.
I konające potępieńca oczy,
Gdy je śmierć grzeszna pod swe bielmo toczy,
Już obłązone katów piekła zgrają,
Piekielnych krain witane już cieniem, —
Nic groźniejszego widzieć nie zdołają
Przed ostatecznem na wieki zgaśnięciem.
Ta w pół kobieta, w pół grobów maskara,
Z gasnącą lampą w rękach ubroczonych,
Jak gdyby z gwiazdą swych dni policzonych;
Ten kozak za nią, co, jak zbrodni kara,
Choć piętnem mordu cechowany cały,
Przecież, niewolnie, staje osłupiały
Przed okropnością złoczyńców sumienia;
Ten blask pożaru: skrwawione tło cienia;
A ci mordercy, co w głębokiej dali,
Pomiędzy nocą orężem błyskali:
Prawdziwy obraz pieczar potępienia!

XX.

„Dalejże dzieci a wam co się stało?”

Był-to głos Szwaczki świeżo przybyłego

Gdy pozierano po sobie nieśmiało.

A choć na chwilę stanął i głos jego,

Onby się zaśmiał do djabła samego.

„Ho, ho! nie wiecie co to za djablica,

„Nie wiecie tego,—a mój nóż odgadnie.

„Patrzcie jak we krwi skąpał się już ładnie!

„A choć tak we krwi jeszcze się rozświeca!

„Stójże mi, widmo! nóż to doświadczony,

„I poświęcony i dobrze ostrzony.

„Rzuć go na wicher co tańczy po drodze,

„A gdzie się kręcił świeżą krew zobaczysz!

„Jeżeli tylko dotrzymać mi raczysz,

„W Bogu nadzieja dobrze cię ugodzę!”

Nóż błysnął, gwizdnął... Po niewieścim jęku,

Po smutnym lampy rozbryźnionej dźwięku, —

Głucho i ciemno. Kozacy zdumieli

Jeszcze krwawego widma nie pojęli,

Kiedy ryk Szwaczki rozległ się olbrzymi:

„Podajcie głownie co się ot tam dymi!

„Zniknęła larwa, to jej ślad te plamki..

„Przyświecaj lepiej... bliżej... tu, do klamki...

„Znać otwierała... wyszła temi drzwiami.

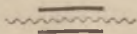
„Już to nie djabeł co uciekł przed nami!”

O zmykaj, zmykaj! W zbrodniach tobie równi

Ścigają ciebie, przy iskrzącej główce.

Skopcony ogniem, krwią ofiar ociekły,

Toczy się Szwaczka przed rozjadłą zgrają:
Tu, jego usta „łamać drzwi” wyrzekły,
I tu drzwi nowe z zawias wypadają.
Długo trwać będzie ta igraszka dzika:
Ci dobrze gonią, ta dobrze umyka,
Zbestwiona pogoń drzwi po drzwiach wysadza:
Tu już stracili, tu znów krew ją zdradza,
Skoro o ścianę oprze się jej ręka;
Tu drzwi łupnęły, tu zasuwa brzęka:
Tu, biegiem skorszym zbudziła podłogę;
Tu prawie słychać jak serce jej bije:
Tu ją dokona przeznaczenie srogie,
Niech tylko drzwi te wyprze ramię czyje;
Już to ostatni przytułek za niemi;
Chybaby szatan schował ją do ziemi!



CZEŚĆ TRZECIA.

I.

Gdzież jesteś, duchu Nebaby?
Zjaw mi się znówu; znowu śpiew ci wnoszę.
Za te nikczemne świeckie powaby
Mieniałem, wietrznik, duszne me rozkosze:
I oto, z wstrętem przesytu,
Obojego tułacz bytu.
Nie wiem gdzie się dziś obróczę,
Jak mojej pieśni donucę!
Burze serca, burze losów
Ogłuszyły mię na chwilę!
Losy piorunowały tyle!
Obyłem się z grozą ich ciosów.
I serce tyle wichrzyło,
Tak kochało, tak mi biło,
Że już omdlało,—czczość, mgłę zostawiło,
W tej czczości, w tem omdleniu
Świat tobie, memu marzeniu!
Jesteś więc ze mną, witam cię, o cieniu!
A z łomu gruzów, wśród morderców gwaru,
Wznosi się szatan, falami pożaru

I w równi trzyma, na wadze zniszczenia,
 Rozkosze zemsty i zbrodni cierpienia; —
 Dając mi porę, bym w czasie cofnionym,
 Puścił wzrok wieszczy za jeźdźcem zgubionym:
 Otom go znalazł, i oto go wiodeę
 Po zasłużoną jego dzieł nagrodę.

II.

Niepomnych czasów, nieznana mogiła
 W cieniach gęstego lasu się ukryła.
 Nad boki mszyste, nad jej szczyt okrągły,
 Odwiecznym cieniem sklepienia się sprzągły
 Ze sklepem dębu, co z sklepów zarosli,
 Strzelał galezią widniej i wyniosłej
 Niż wieża Ławry, *) złotem błyskająca,
 Pośrodku dzwonnice kijowskich tysiąca.
 Starszy brat sławnej puszczy Łebedyna,
 Nie jednej puszczy plemię on zaczyna;
 Bo burze nieba i czasu wstrząśnienia
 Tak się po jego przesuwają szczycie
 Jak tej piastunki co chce uspić dziecię
 Zmyślone groźby i głaszczące pienia.
 Czy spiekle lato piorunami sieje,
 Czy płaszcz jesieni mgłami się odyma,
 Czy, w nagich borach, mroźna iskrzy zima, —
 Korona jego ciągle zielenieje;
 Niby mąż wieków w mogile tej leży,

*) Ławry peczerskiej, klasztoru przy pieczarach czyli grobach wielu świętych i błogosławionych, w Kijowie.

Niby myśl jego, w kształt drzewa odziana,
I bohaterską posoką podlana,
Piastuje wieniec chwały, zawsze świeży.

III.

Nebaba, senny, pod nim odpoczywa:
Wpół-zwiedły trawnik jest kobiercem łożka,
Namiot z gałęzi, — ze mchu pnia poduszka:
Przykry świst puszczy piosenkę mu śpiewa.
A, kozackiego wartownik posłania,
Koń tylko wrony tręzlami podzwania.

Po miejscu wspomnień, po męża postawie.
Możnaby myśleć, że duch bohatera,
O którym marzy ukraińska lira,
Tu, w pełni życia, zmartwychwstał na jawie,

Ale, śpiącego zajrzając wspaniałości.
Snu atamana niech nikt nie zazdrości.
Wejrzyj na lice: w ich się ruchu kreśli
Cała męczarnia skrępowanych myśli.
Zdawało mu się widzieć ogień z wieży:
Dosiada konia, — zebrać swój szyk bieży;
Ale, na miejscu kozaków obozu,
Spotyka stado wilków wśród wąwozów
Wtem głos Orliki jakby gdzieś za górą...
Spiesz ku niemu: światło co błyszczało...
To Ksenia w oczy patrzy mu ponuro;
I kruków kilka w uszy zakrakało.
Zlał go pot rześny; wymknąć się im sili,
Aż on harcuje na żelaznym pręcie...

Tu go przestraszu ocknęło wstrząśnięcie.
Lecz cóż spostrzega w przebudzenia chwili?

IV.

Człowiek spokojnie siedział sobie z boku:
Z brody sędziwej lata widać mnogie,
A, że nie widzi, z zapadłego wzroku.
Trzymał na nodze założoną nogę:
Na niej wsparł lirę i tonów próbował,
Niby przypomnieć piosukę usiłował.
Kamrat Nebabie niebardzo przyjemny.
Więc z góry krzyknie, ku starcowi skoczy:
— „Dziadu! kto jesteś? co robisz w tym borze?”
Zwolna, drwiąc nawet, dopowiedział ciemny:
— „Jak mowa groźna, taka twarz być może:
„Dziękuję Bogu, że mi wydarł oczy.”
I znów spokojnie wziął się do brząkania,
Jakby wszystkiego zbył tą odpowiedzią:
— „Nikt żartem nie zbył mojego pytania!
„Czort cię tu przyniósł, ale nie wyniesie!
„Starcze, kto jesteś? co robisz w tym lesie?”
I siłą starca pochwycił niedźwiedzią.
Ale w krwi zimnej lirniki jednakowy:
— „Puść; strunę urwiesz, a niekupisz nowej,
„Gdym już tak bardzo nieprzyjemny tobie,
„Ty widzisz dobrze, jam ślepy na obie:
„To, zamiast gniewów i tego hałasu,
„Na trakt ubity wyprowadź mię z lasu;
„Albo mię przeproś, daj grosz jaki w rękę.” —

„A na dobranoc usłyszysz piosenkę“.
 „Djabek nie ślepiec; w miejscu odpowiedzi,
 Niezłękły groźbą jak z kamienia, siedzi.”
 Pomyślał kozak, skrycie się uśmiechnie,
 Bo już i gniewu uniesienie cichnie.
 „Czemuż-to, ślepcze, nie masz przewodnika?“
 Już łagodniejszym zapytał się głosem.
 Dziad się uśmiechnął: „hm! mruknął pod nosem:
 — „U mnie, to kostur co u kogo pika.
 „W słotę, w pogodę, czy to dniem czy nocą,
 „Całą Ruś, przejdę za jego pomocą.
 „A od Kaniowa aż do samej Smiły,
 „Wszystkie, pod ręką, poznam ci mogiły;
 „Pień tobie każdy poznam nad mą drogą,
 „Każdą murawkę co nastąpię nogą.
 „Ale, kiedym się odbił od kamratów,
 „I tutaj blisko smacznie odpoczywał,
 „Ktoś mi dziadowskich pozazdrościł gratów,
 „I skradł kostura. Prawda, był okuty;
 „Stanie za szablę. Czyś się już przegniewał?
 „Długi gniew grzechem. No będę ci śpiewał
 „Na zgodę: tylko daj mi dwie minuty
 „Że sobie lirę do głosu nastroję.
 „O! wszędzie, wszędzie lubią pieśni moje“.
 Nebaba ani zezwała ni wzbrania;
 Więc lirniki zaczął, po chwili brząkania.

V.

„Wyplłyn, vyplłyn z za obłoku!“
 I nagle urwał w samym pieśni toku.

„Trzeba bym wprzódę rzecz powiedział całą
 „Historja długa; siądź tu rzuć ratyszcze: *)
 „Długa lecz pewnie twą pochwałę zyszcze.
 „Gdzie się to działo, i z kim się to działo,
 „Trudno jest wiedzieć, — niekoniecznie wreście?
 „Może i niechcesz. Dość, we wsi, czy w mieście,
 „Była dziewczyna z niespełnym rozumem.
 „Dawno chodziły wieści między tłumem:
 „Że nad jeziorem, w zarosłej ustroni,
 „Kiedy się wszyscy w chatach spać pokładą,
 „A noc, na niebie, błysnie gwiazd gromadą,
 „Jasny latawiec spływa ogniem do niej.
 „Wszyscy to pletli, wszystkich to bolało
 „Że o tym cudzie wiedzieli tak mało.
 „Ale z szatanem niebezpieczna sprawa.
 „A był tam chłopiec, sztuczka śmiała, żwawa:
 „Brząknąć w bandurkę, przyłgnąć do dziewczyny,
 „Wywinać tańca, coś splatać,—jedyny.
 „Jak się rozszalał z drugimi chłopaki,
 „Przyrzekł że djabła na schadzce dostrzeże;
 „I dostrzegł. Czegoż nie dokaże taki?
 „Każdy to przyznał, i ja temu wierzę.
 „Bo obłąkana, drugiego wieczora,
 „Zamiast miłego czekać u jeziora,
 „Duszą i ciałem chłopaka się trzyma.
 „Aż, niezabawem, i łono się wzdyma...
 „I gdy już o tem pełne kumów uszy,
 „Ktoś wyjął z wody dziewczynę bez duszy.

*) Ratyszcze: spisa, włócznia.

„Po żwawym chłopcu ni śladu, ni słychu.
 „Różnie to różni gadali pocichu;
 „Choć najpewniejsza utwierdza pogłoska,
 „Że ot w tem wszystkim moc była czartowska!
 „Djablich miłostek mieszać nie wypada.
 „Ksenia... Ten język zawsze się wygada!
 „Szalona, żyje. Ale, choć, jak wprzódy,
 „Błądzi pomiędzy i lasy i wody,
 „I na noc całą przed gwiazdami siada, —
 „Nikt jej nie śledzi, nikt jej tam nie bada:
 „Bo niechaj z nami zostanie duch święty,
 „W ciało niebogi wsadził się bezpięty.
 „Ale dojrzano kwitnące paprocie,
 „To i jej pieśni słyszano w ciemnocie.
 „Będę ci śpiewał jakiem nauczony“.
 I nucił w liry uderzając strony.

„Wyplłyn, wyplłyn, z za obłoku:
 „Po błękitnem przeleć niebieł
 „Ja kochanka wzywam ciebie!
 „W lasów ciszy, w nocy mroku.
 „Ho-hop, ho-hop! wzywam ciebie!
 „Głucha ciemność wioskę kryje:
 „Zgasł kaganek w oknie chatki,
 „Sen zakleił oczy matki;
 „Moje serce bije, bije,
 „Do twojego serca bije!
 „O północnej wyszłam porze;
 „Na burzliwą niedbam porę:
 „Skoro mi blask luby gore,
 „Niechaj zgasną wszystkie zorze,

„Całą noc przesiedzę w borze!
 „Kiedy promień twych warkoczy
 „Spłynie na obłoki sinie,
 „Ziemia złotym dniem opłynie;
 „A mnie dusza, a mnie oczy,
 „A mnie serce szczęściem spłynie!
 „Ho-hop, ho-hop!... ja kochanka,
 „W lasów ciszy, w nocy mroku,
 „Radam, do samego ranka,
 „Wywoływać cię z obłoku.
 „Ho-hop, spłyn do mego boku!
 „W końcu najpiękniej; chcesz, to ci powtórzę:
 „Ho-hop, ho-hop!...“

I musiał stanąć. Z ocz Nebaby błysku
 Dawno już widać co tam w myśli chmurze
 I gromowego jak blisko pocisku,
 Zdaje się brakło ruszenia lub słowa.
 Szczęśliwa dotąd, widać stara głowa.
 Ale w tej chwili chwycił go za ramię.
 Że mu jak szatan musiał wypiec znamię:
 „— Jak mi raz jeszcze to „ho-hop“ zawyjesz...
 „Słuchaj, przekłety! czy już nadto żyjesz?“
 Nie mógł dokończyć, bo rzenie wronego
 Wezwało naglej obecności jego:
 Skoczył od starca, błysnął w rękę piką,
 I prędzej gęstwą przemykał się dziką.

VI.

A koń jak wryty, stanął niespokojny:
 To wzrok zaiskrzy, i nozdrze rozszerzy,

To znowu zarzy kopytem uderzy,
 Jakby go tchnienie obwiewało wojny.
 Nic tu nie widać, niesłychać nikogo;
 Chyba się listek odezwie pod nogą.
 „Lecz karosz jeszcze nietrwożył mię próżno:
 „Nieostrożnego i Bóg nieuchował;
 „Złe się przechodzi pod postacią różno...
 I do lirnika myśli swe kierował.
 „Trzeba go zbadać, podobno to zdrada,
 „Bo choć się dziadem i ślepym powiada,
 „To drwiącym śmiechem wykrzywione usta,
 „Jeśli nie djabła, zdradzają oszusta.
 „Ten głos donośny, sama broda biała,
 „Ślepotą nawet coś mi się niezdała,
 „Patrz jak usłuchał! a przeciemi wzbronil!
 „Jakby we dzwony, swoje „hop“ zadzwonił!
 „Trzeba go nauczyć, choć to siwa głowa!
 „Niech dla weselszych swoje żarty chowa!“

VII.

Już kozak drogi do drzewa miał mało
 Kiedy, w gęstwinie, jeszcze się zaśmiało.
 Teraz bezpieczniej szukaj go z latarnią!
 Dokoła pusto wszystko się sciszyło:
 Jakby lirnika, ni liry nie było,
 I kwiat, gdzie siedział, wstał już między darnią.
 Stał Ukrainiec, i w długim podziwie
 Po razy kilka nabożnie się żegnał:
 Jeśli to szatan żeby go krzyż przegnał;

Jeśli szpieg, w starca przebrany kłamliwie,
 Żebym mógł znowu dostać go do rąk!...
 Lecz gdzie go śledzić, że tak w koło głucho.
 Ukląkł, przyłożył do mogiły ucho:
 Tentnienie konia słychać w ziemi stęku.
 Ha! myśl szczęśliwa kręci się po głowie:
 Oko najlepiej z tego dębu powie.
 Wstał; ale jeszcze uchem wiatru schwytał,
 Raz jeszcze, okiem gęstwiny zapytał, —
 I pod mszystemi zniknął gałęziami:
 Tu pika błyszczący, kołpak czerwienieje;
 A tu, po dębie, coraz bliżej wierzchu,
 Gdzieniegdzie gałęź szeleśnie czasami; —
 Aż oto, razem, postać zajaśnieje
 Gdzie sam szczyt drzewa tonie w ogniach zmierzchu.

VIII.

Darmo Nebaba wodzi orlim wzrokiem
 Nad różnolistnym gęstych puszczyz obłokiem,
 Darmo okrąża po polu szerokiem,
 Zawsze w pustynie czezości wzrok zapada:
 Ani kurzawy, po drożynie dziada.
 Jak tylko zajrzyć, w około tumany,
 Snują się jary, wstają w piętrach wzgórze;
 Śród nich, gdzieniegdzie, lasek się zachmurza;
 Błyszczący dnia resztą dach zamku blaszany;
 Błyszczący, na prawo, Dniepr, dołem rozlany.
 W błędnej z tysiącznych węzłów płataninie,
 nie się drogi na lewo rozbiegły;

To, skrętym węzem, pełzną po wyżynie,
 To się jak wstęga, snują po równinie,
 To w paszczach jaru giną niespodzianie, —
 Aż razem znikną w dalekim тумanie.

Tak tu wyraźny ten widok rozległy,
 Że zliczysz wszystkie przydrożne figury;
 A czy lepsze dostrzedz nawet mogą:
 Gdzie jaki żebrak ciągnie którą drogą,
 Gdzie koło błyska pośród pyłu chmury.
 A dnia ostatkiem, zachód pozłożony,
 Pocieniowany lotnemi obłoki,
 Jest jak zwierciadło tej ponętnej strony,
 Z każdym jej cieniem, z wszystkiemi uroki!

IX.

Kogoż ten widok, kogo nie zachwyci?
 Kiedy, nad otchłań pognębienia wzbici,
 Krążymy po niej spojrzeniem w pół-bożem
 A bliżsi nieba, czuć wyraźniej możemy,
 Żeśmy na samem dwóch sfer pograniczu,
 W swojej kolebki, w ojczyzny obliczu.
 Weselsza dusza żywiej tu promieni.
 Jaśniej tu czyta w literach z płomieni.
 Któremi Wieczny, w tle chaosu cieni,
 Do swej potęgi dziedzictwa ją wpisał;
 Z przed tronu Boga głośniej tu dolata
 Śpiew co ją w łonie wieczności kołysał;
 Głuszej tu jęczy płacz niskiego świata;
 Nadół, do ziemi, smutku kwef ponury,

Nadół westchnienie co zawichrzya duszą,
 Łzy, sercu ciężkie, nadół tu ciec muszą;
 Jak nawałnice, i deszcze, i chmury,
 Płyną do ziemi od niebieskiej góry.

X.

Co-to Nebaba tak myśli głęboko,
 Między gałęźmi oparty bez ruchu?
 Czem tak zasunął rozigrane oko?
 Czy dąb, gaduła, szepce w jego uchu
 Smutne powiesci o klęskach tej ziemi,
 Gdy, pod jej niebem sęp mordu ponury
 Toczył cień trwogi skrzydłami krwawemi,
 A z nim tatarów napływały chmury?
 O, nieraz, może, na tym jego szczycie
 Rozwiewały się przestrogi znamiona;
 Nie jedno, może, ta z liści zasłona
 Przed srogą śmiercią uchowała życie.

Nie; w zadumaniu cichem i głębokiem,
 Puścił się kozak swoich dni potokiem.
 Po jego myślach młody wiek przegania
 W kwitnących barwach świetnego zarania.
 Co za świat w ciszy rodzinnego sioła!
 Gdy dusza grała ogniami jutrzeńki,
 A wabna przyszłość, jak wróżka wesola,
 W kolej, nadziei uchylała wdzięki.
 Jak wszystko pełne, jak tam wszędzie miło:
 Jak dzień, skąpany w jeziorze rodzinnem,
 Cicho, ponętne, w marzeniach świeciło,

Przeszłość i przyszłość, szczęście i niedole;
 Życie, — koń wrzący; świat, — kwieciste pole!
 Wzburzenia duszy, cierpkie serca bole,
 Wszystko się topi w uśmiechu dziecinnym:
 Łzę utrapienia, łza rozkoszy strąca;
 I struna, w tony rozliczne bijąca,
 Leniwiej smutne wesołemi zmienia,
 Jak jego umysł swoje poruszenia.
 Albo ten wieczór, ten ogień kupały! *)
 Po zwierciadlanej Biełozyrja wodzie,
 Mkną się rybackie z kagankami łodzie:
 Niebo ciemniało, szyki gwiazd gęstniały,
 Błękitna fala sypała kryształy,
 Szum sosen mrucał piosenkę żeglugi,
 Muzyczną miarą uderzały wiosła:
 Cyt! płomieniami rozgorzał brzeg drugi,
 I wrzawa dziewic zewsząd się podniosła.
 We mgnieniu oka, ucichli żeglarze;
 Złożyli wiosła: czółna w okrąg płyną;
 Już w oczeretach **) syknęły gadziną.
 A brzegi kipią w piosenkach i gwarze;
 A tanecznicę, migającym cieniem,
 Snują się ciągle przed wielkim płomieniem.
 Wtem zaczajona młodź nagle wypada.
 Nebaba huknął: Zdrada, siostry, zdrada!
 Już po bałwani! Z wianków oberwany,
 Złamany leży, skończyły się tany,

*) Polskie sobótki.

**) Oczeret: trzcina.

Ucięto śpiewy; a mściwe dziewczęta
 Całusem karzą śmiałego natręta.
 A też pustoty!.. Gdy wszyscy usnęli,
 Widmo kobiety wysnuło się w bieli...

Dziką piosenką serce zaśpiewało,
 Blask obłąkania strzelił ze źrenicy:
 Kozak na chwilę zniżył skroń ściemniałą,
 Jakby chciał przetrwać aż ucichną pieśni.
 Czyż taka pamięć pieszczot, miłośnicy?
 Darmo nie scieraj z czoła mgłę natrętą,
 Nie stawiaj myśli na spojrzenia warcie;
 Raz jeden zbrodni wyciśnione piętno,
 Jak blask fosforu, czyści się przez tarcie.
 Choć w całun duszy twe się oko wprządło,
 Zawsze nieczystych miga się w niem żądło.

XI.

Inny Nebaba, bo z inną już duszą,
 Pomiędzy borów majaczeje głuszą:
 Grom namiętności mgłę spojrzeń rozświeca,
 Szyderski uśmiech kazi hoże lica:
 Wszystko kipiące, od serca począwszy,
 Aż do rumaka co go gdzie chce niesie;
 Jak w duszy jego, posępno w tym lesie;
 Jak rządze jego, kraj tu coraz nowszy.
 Z piąter na piątra, z gór na góry drze się;
 Za każdym krokiem rosną w nim tęsknice,
 Im lasy głuchsze, wyższe okolice.
 Aż oto nowa zajaśniała chwila,

I cienie troski ciągle mu umila.
 Jak, noc wieczności, zorza zmartwychwstania.
 Cóż-to za dziwna strona się odsłania?
 Tu, pod nogami, na równi poziomej:
 Moszen, spojrzeniem policzone, domy,
 Irdyń drzymiący w spleśniałej głębiunie,
 Wiecznie z wiatrami sporne oczerety;
 Jak rozsypane zielone bukiety,
 Drzewa, i sady, i gaje, w dolinie.
 Tam błyskający jasnemi zwierciadły,
 Tu w gardła jaru, jak w otchłań zapadły,
 Dniepr tutaj całkiem skrył się w bór ponury,
 A tu się znowu wylał z bioder góry.
 Dalej, piaszczyste pozłoczone morze;
 Dalej, bór spływa po piaszczastym szczycie,
 Podobny strzępnej narodowca kicie.
 A jeszcze dalej, i dalej, i bliżej,
 Góra po górze, bór idzie po borze;
 Tysiącem węzłów, tysiącami krzyży,
 Płaczą się, mącą, rozchodzą, zbiegają,
 Niepoliczoną, nieobjętą zgrają.
 Wioski i grody, pustynie i laski,
 Jary, i góry, i łąki i piaski.
 A coraz dalej stepy piasku bledsze,
 A coraz dalej lasy błękitnawsze,
 A coraz dalej dymiejsze powietrze,
 I nieba niższe, — a mgły, a mgły zawsze.
 Ileż swobody, uniesień rozwinie
 Jeden tu widok, w jednej tu godzinie!
 Gdzie ten wiatr wieje, gdzie ten obłok dąży,

Co tam za strony! gdzie, w tumany sinie,
 Wiecznie drzymiące, fala Dniepru płynie?
 Orzeł niech powie co pod niebem krąży;
 On wyżej buja, i jego źrenice
 Wyraźniej widzą tamtą okolicę;
 O zaporożu niechaj on opowie;
 Jak tam rozległe panują koszowi;
 Jakie tam, wiecznie hulanki i wola;
 To samo słońce jak tam rozpromienia
 Porozsiewane gwarne ich kurzenia. *)
 A tabun pędzi ze rzeniem na pola;
 A Zaporozec, na swobodnym koniu
 Jak jego myśli, ugania po błoniu:
 Jak wicher stepu, jego pieśń tak dzika.
 A tam po Dnieprze łódka się przemyka;
 Lekka, i chybka, i szybka jak fala,
 Leci za nurtem, po szklanej równinie:
 Wpadła na poroh; ze skał się przewala;
 Zapadła w głębię.. przepadła... aż zdała
 Pęka wód kryształ, łódź jak łabędź płynie.
 Przeszło co było! i co będzie minie!
 Ockniony z myśli ataman zawoła;
 A co być musi niechaj się już staje!
 Kozacy tęsknią, i ogień goreje!
 Spuścił się z dębu na skrzydłach sokoła!
 Na szumie wichru przemknął się przez knieje;
 Już pod bajrakiem, i już hasło daje.

*) Tak nazywają poziome chaty kozackie, i strażnicze
 szałas, z których dym. nie mając oddzielnego dla siebie otwo-
 ru, wychodzi całą powierzchnią słomą krytego dachu.

XII.

Poznała hasło kozacza drużyna,
W gęstwie bajraku dotychczas drzymiąca.
Lekkie gwizdnienie biegać w krąg poczyna,
I ciszę zmroku powoli zamąca,
Ale nie głośniej jak szum między drzewy
Gdy wstaje chmura na walnej ulewy.
Prędko, spokojnie wszystko się odbywa;
Bo i pochodu młodzież niecierpliwa,
I atamana rozkaz wykonywa.
Nie śmie złowiony koń zadzwonić w pęta;
Nie śmie stal brząknąć do boku przypięta;
Natrętna innym, gałązka przydrożna
Kozaczej czapki nie dotknie, ostrożna.
A z jaką ciszą do bronii się brali.
Z taką, już zbrojni, z lasu wyjechali.
Czekał ataman, kołpakiem omglony;
Pod atamanem kopał ziemię wrony,
Dał znak, młodocy obwiedli go kołem,
Podniósł kołpaka, powiódł śmiałem czołem:
„Panowie bracia, czas nam ruszać dalej!
„Droga daleka, gwiazda się już pali,
„A zamek czeka z łóżkiem i wieczernią!
„Więc, z Bogiem naprzód! niech koń pęcie dłużej,
„A noże we rdzy, niech dłużej nie leżą.”
„Szlak wiemy dobrze choć się niebo chmurzy.”
A niechcąc dłużej rozwlekać się słowy.
Pokazał ręką na ogień zamkowy;

Świsnął: i wprzód się wysunął, aż miło.
A wojsku chęci we dwoje przybyło.

XIII.

Niezbyt daleko jeszcze odjechali,
I widać jeszcze przez mroku zastłonę,
Gdy śpiew się ozwał w między-leśnej dali.
Zwrócono oczy i uszy w tę stronę:
Pieśni znajome, ich słowa złożone.
Patrzą ciekawi co się dalej stanie,
Patrzą do lasu: ucichło śpiewanie,
Aż i dwóch jezdnych, szlapiąc wolnym krokiem,
Zamajaczyło między szarym zmrokiem.
Ile, w ciemności, dopatrzeć się można,
Kozaczą burką opięci się zdają,
I długie piki, zda się, w rękę mają.
Ale we wszystkim trzeba iść z ostrożną:
Na znak Nebaby, czterech wyskoczyło,
Rozpoznać z bliska co-by to tam było.

XIV.

Już powrócili; dobrze się sprawiono:
„To niedobitki, ojczy atamanie!
„Wielkie przy Mosznach było krwi rozlanie;
„Tabor tam naszych ze szczętem zniesiono;
„A tym dwom, jakoś, to trzciny Irdynia,
„To okoliczna pomogła pustynia,
„Że się wymknęli, upatrzywszy porę;

„Ale ich serce i dziś na bój gore.
 „I, gdyby można, toby jeszcze radzi
 „Tu pohulali. A więc, z dobrej chęci.
 „Proszą by u nas mogli być przyjęci.
 „Nam się też zdaje że to nie zawadzi.
 „Przyjm ich, prosimy, do swojej czeladzi.”
 Coś pomysławszy, zezwolił wódz na to:
 Bo dwóch, nareszcie, ni zyskiem ni stratą
 Kozacy, radzi z nowych towarzyszy,
 Ruszyli dalej w porządku i ciszy.

XV.

Wieczór gęściejsze rozsiewa tumany,
 Brudniejszym niebo obłokiem zaciemia,
 Z ciemniejszym niebem zasepia się ziemia;
 Toczą się, szlakiem, obłędu bałwany.
 Chropawym torem. w ślepiącej ciemnocie,
 Orężny orszak bacznie się posuwa;
 Daleki ogień co na przodzie czuwa
 Dodaje bodźca wojennej ochocie.
 To na zamkowej wieży się paliło;
 Kochankom wojny tak go widzieć miło
 Jakby się w oko dziewczyny patrzyli
 Gdy je nadzieja rozkoszy umili.
 I dalej hucem ściśnionym stąpali,
 Ciągłe milczenie zachowując dzikie,
 Nadzieję mordu mając za muzykę,
 Za wtór stęk ziemi i brząkanie stali.
 Cóż się tam dzieje z myślami Nebaby

Teraz gdy zemsty dostępuje szczytu?

Musi mu jaśnieć wszystkimi powaby;

Teraz-to musi w rozkoszy zachwytu...

Ej, ile można miarkować po czole,

Po dosłyszaniem zazgrzytaniu szczęki, —

Znośniejsze serca zdradzonego bole,

Gdyby się pojął, niż te zemsty wdzięki?

Czegożby marzył po tryumfach noża

O błędnem życiu w stepach Zaporoża?

I czegoż w myśli tak brnąc, że, pomału,

Jakby w sen zapadł, jakby w śnie się rzucił

Gdy pistoletu wystrzał go ocucił.

„Kto tam wystrzelił?” wnet groźnie zawoła.

Pilnie patrzano po sobie do koła;

To aż w ostatnich szeregach oddziału.

— „Droga tak ciemna, koń się spotknął w chodzie

„Przeklęty kurek, źle trzyma na zwodzie,

„Aby go dotknąć to zaraz i pryśnie.”

— „Niechaj-no każdy pistoletu strzeże!

„Bo, czy umyślnie, czy to nie umyślnie,

„Raz ja ostatni w ten przypadek wierzę!

„Nie przetrze oczu jak plunę któremu!

„Hej, kto wie drogę niech jedzie przed nami!

„Wy, z bystrem okiem, biegnijcie stronami;

„A tył oddziału wręczam pod straż temu.

„Wróg, — bodaj mara; a wystrzał przestroga”

— „Pozwól się prosić, ojcze atamanie.”

Pochwycił kozak co w tej chwili stanie:

„Każda mi znana pod Kaniowem droga;

„Nie jedne wiozłem tu listy, a wprzódy

„Nie raz tu nie dwa wypasałem trzody.
 „Wybierz mi oczy, jeszcze i w tę chwilę.
 „Na krzyż przysięgam, że na krok nie zmylę.”
 — „Zanadto mowy; lecz kiedyś ochoczy,
 „Więc prowadź. Zawsze ku temu ogniovi;
 „To nam gospoda.” Tak Nebaba powie.
 A zwinny kozak przed wszystkich wyskoczy:
 Westchnie, — przez piersi święty krzyż położy;
 A za nim reszta; — i dalej, w czas boży!

XVI.

Ciemnemi szlaki wywijając kręto,
 Nad jar głęboki przerznął się Nebaba.
 A już i jasność miesięczna, choć słaba,
 Biła ze wschodu w chmurę nasuniętą,
 I widzieć w cieniach wyraźniej zaczęto.
 Gęstemi trzciny szeleści jar na dnie;
 Woda gdzieniegdzie drzymie śród bagniska,
 Chwilkę jaśniejszem zwierciadłem zabłyska,
 Gdy drobna gwiazda z za chmur się wykradnie
 I, w srebrnych iskrach, na jej marszczki padnie.
 — „Patrzcie-no! co-to tem wzgórzem ciemnieje?”
 — „To, powyż jaru, podnoszą się lasy.”
 — „Lasy w tych stronach, a ja znam te strony.
 „Może; słyszycie ten szum przytłumiony?
 — „To aż za Dnieprem biesiadują knieje.”
 — „Nie, bracia: kłamstwo! to coś jak hałasy.”
 Ale gdzież kozak, co przed atamanem,
 Po błędnej drodze jego hufiec wodził?

Czy w czarodziejskiem kole się ogrodził?
 Czy: jak widziadło, rozwiał się tumanem?
 Byłże-to Polak przykryty kołpakiem.
 By nieostrożnych naprowadzić w siatki?
 Badał: i lubo, wśród przykrej zagadki
 Dreszcz co oziębła przebiegał po ciele,
 Żadnym nie zdradził podejrzenia znakiem;
 Tylko zawołał na swoich, i śmieie
 Puścił się z góry, jak gdyby skrzydlaty.
 Podwójny wystrzał błysnął, zagrzmiął w tyle,
 I jęk śmiertelny ozwał się za chwilę.
 „Stój, atamanie!“ Leci jeden z czaty.
 „Zdrada od Lachów! Już nasz jeden zginął;
 „Ledwie dał hasło, pod koniem się zwinął;
 „Takim go smacznym przywitał nabojem
 „Czart zaczajony w kudły naszej burki;
 „A teraz z wojskiem połączył się swoim,
 „Co już nam odwód przecięło na wzgórkach.
 „Słyszysz, czy widzisz co się to zaczyna?
 Zaledwie skończył zły wieści posłaniec,
 „Kozacy na dół runęli nawałą,
 „Az zastękała w dnie jaru głębina;
 „A z góry chmurą gromami nabrzmiała,
 „Zwołna bagnetów następował szaniec,
 „Wpół chmurny księżyc pozierał nieśmiało:
 „Rzęsne się błyski sypały z oręża;
 „A szyk doborny, koń w konia, mąż w męża,
 „W nieprzełamany niemym szeregu,
 „Sunął po jarów gorącym brzegu.
 Tylko szeleści sztandar rozwiniiony,

Jak gdyby szeptał już naprzód pacierze
 Po duszach, które śmierć za chwilę zbierze,
 A czasem trąbka wrzaśnie w przykre tony.

XVII.

Jak ta na wstępie zaburzonej fali
 Co przez dniewrowe porohy się wali
 Skąła, wśród szumu, stoi niezachwiana,
 Tak się wydaje postać atamana,
 Kiedy, zepchnięte nieprzyjaciół siłą,
 Wojsko się jego do koła stłoczyło:
 „Stójcie! zakrzyczał;“ podstęp nie wygrana
 „Prawda że wrogowie stoją nam na tyle,
 „A dla nas przykre co nie w zamku chwile;
 „Lecz tu potrzebne choć bitwy udanie.
 I ani możem wątpić o zwycięstwie!
 „Znać nie ufają ni w sile, ni w męstwie,
 „Gdy tu, w tej porze, godzą na spotkanie.
 „Niechaj-że z tyłu gotuje nam tamy,
 „A my, na górę, przed siebie ruszamy.
 „Ciemna noc równie obu wojskom sprzyja.
 „Dalej na góry gdzie przeprawa czyja!
 Już się wypuścił: aż tu, jednym razem
 Burzą wojenną powietrze zawrzało;
 Ryknięto w trąby, brząknięto żelazem, —
 Błede się łuno po nocy rozlało;
 I gradem śmierci w okrąg zaświstało.
 Spojrzał Nebaba, i wstrzymał się w biegu. —
 Tak go gwałtowne objęło zdziwienie;
 Polacy stoją na oboim brzegu;

Bolesław Domaszewicz
 ADWOKAT
 W Włodzku.

I ślą ku niemu ogień bez przestanku:
 A on się widzi w płomienistym wianku.
 „Zdajcie się, zdajcie! kornym przebaczenie:“
 Na wszystkie głosy Polacy wrzasnęli.
 Patrzą po sobie kozacy zdumieli.
 Lecz wódz nie daje do myślenia chwili,
 Więc ich, przykładem i mową, posili:
 „Nic to, nic, bracia! dajmy ład wszystkiemu,
 „Zaraz tu wszystkich popędzimy w bagno.
 „W sercach im zatknąć broń której tak pragną,
 „Nic to, nic bracia: huknijcie po swemu!“

XVIII.

Czy duch co lubi wspierać ludzi zbrodnie,
 Śród nocy, piekła, podniósł im pochodnię,
 I do ich serca zagrał swą muzyką,
 Że takie grzmoty ryknęły tak dziko,
 A, na świat ciemny, na sklep nieba cały,
 Tak niezwyuczajne błyski się rozlały?
 Grobowa cichość nastąpiła po wrzawie:
 I oba wojska, w posągów postawie,
 Z bezwładną ręką, opuściwszy bronie,
 Oczy ku jednej obrócili stronie,
 Jakby na karku nikogo nie mieli:
 I wkrótce dziwniej niż wprzód huknęli.

XIX.

Jakaż nagłego postrachu przyczyna?
 Była-to właśnie okropna godzina,

Kiedy wpadł Szwaczka na zamek dobyty,
 A pożar zaczął trawić jego szczyty.
 Z jaką radością przyjmie konający
 Cudem odkrytą, zbawienia nadzieję,
 Z taką, Nebaby wojsko wieść przyjęło
 Że ich pożarem zamek już goreje,
 „Ot i przypadek sprzyja nam niechęcy!
 „Teraz się szczerze weźmijcie za dzieło.
 „Niebo, mołodcy, niebo nam pomaga!
 „Jeszcze godzina i stała odwaga,
 „A, na złość liczbie, wyjdziemy zwycięsko!
 „Patrzcie, jak jedną strwożeni już klęską!
 „Hej, dwóch najzławszych na lepszych rumakach!
 „Skoro stawiamy na tym góry grzbiecie,
 „Pokłon do zamku od nas poniesiecie,
 „Niechaj tam pomną o braciach kozakach,
 „A teraz, kiedy Lach się trzyma słabo,
 „Dalej, mołojcy, dalej za Nebabą!“
 I poszli wszyscy na miecze, na spiże,
 I znikli w walki zakręceni wirze.

XX.

Jak gdyby oko zagniewane boże
 Całkiem w płynący ogień się stopiło,
 Z taką wściekłością, z tak rosnącą siłą,
 Wrzało nad zamkiem płomieniste morze.
 Pożar, w podziemne zakradłszy się lochy,
 Buchał, jak z paszczy, kłębami brudnymi;
 W skrytych podkopach zapalone prochy,

Jak grom więziony, darły wnętrza ziemi.
 Leżały wieże, czarne ziejąc dymy,
 Jak obalone piekielne olbrzymy;
 Jak przekłętego Lucyfera skronie,
 Pałały dachy w ognistej koronie.^o
 A echo piekieł, umarłych jęczenia,
 A głązy siłą ciskane płomienia, —
 Tańcem i pieśnią tej uczty zniszczenia.

Wiadomość z razu głucho się roznosi,
 Co raz głośniejszym rozlega się gwarem:
 Nebaba walczy nad pobliskim jarem,
 I, przez posłańców, o posiłek prosi.
 — „Kto wasz wódz?“ — „Szwaczka.“ — „Gdzie
 [*jest?*“ — „Na zabawce,
 „Przywodzi godne swej woli opravce.“

Tam, tam, gdzie słyhać, pośród murów rumu,
 Razem przekleństwa, i śmiechu hałasy,
 Szwaczka, na czele rozjadłego tłumu,
 Z uporem w rdzawe szturmuje zawiasy.
 Jedna tam słaba kobieta się tai.
 Już najmocniejsi jacy są w tej zgrai
 Poprobowali swoich barków siły,
 I, z wściekłym wstydem, wracali od pracy.
 Aż Szwaczka krzyknął: „Oto mi kozacy!
 „A was-by gnuśnych baby wydusiły!
 „Jeszczeż-no plecy naprężą się stare;
 „Bo chcę serdecznie ścisnąć tę maskarę.
 „Ale panowie młodcy, za karę,
 „Nikt jej przedemną dotknąć się nie waży!“
 Wtem, kark barczysty z pod burki odsłoni:

Podsadzi ramię, razem drzwi podważy;
 Drzewo zazgrzyta, żelazo zadzwoni:
 Przejście swobodne: już wpadnął już po niej!
 — „Giniecie, bracia! ratuj się kto umie!”
 Okrzyk przestachu rozlega się w tłumie;
 I wewnątrz zamku zawyło przestachem.
 Prysnęły główne, płomienie buchnęły,
 Wstrzęsło ścianami, zaskrzypiało dachem,
 I dach przetlały runął między ściany.
 Jeszcze okrzyki skonania wrzasnęły,
 Prysnęły główne, dymy wybuchnęły,
 Wirem się wzniosły ogniste bałwany,
 Chwila; — i wszystko milczy pod pożogą;
 Przetlona głównia cicho dogorywa,
 Cicho dym wstaje, płomień się dobywa, —
 Jakby tam nigdy nie było nikogo!

XXI.

A w gardle jaru jak wrzały tak wrzały
 Dźwięczące cięcia, ryczące wystrzały,
 I zgiełku męży wyjąca muzyka.
 Nie jeden jeździec zwinął się bez głowy,
 Nie jeden leżał pod ciężarem konia.
 Nie jedna z ostrzem rozstała się pika,
 Nie jeden w bryzgi poszedł miecz stalowy, —
 Nim przepełniwszy bagniste parowy,
 Powódź się wojny rozlała na błonia.
 I któż jest w sile, z żyjących na ziemi,
 Ogarnąć, pięcią, zmysłami słabemi,

Ten taniec mordu jaki wyprawiły
 Wszystkie uczucia, wszystkie człeka siły,
 W jedno uczucie, w rozpacz przerodzone?
 Dzięki połyskom, co z pożaru biją,
 Że czasem nocy uchylą zasłonę!
 Większe ciemnościom, że je znów zakryją!
 Noc-to okropna, noc-to piekiel była;
 Starzy z powieści prawią o niej siła:
 Gdyby nam dzisiaj taka się przyśniła,
 Miękkie sny nasze na długoby struła. —
 Jedna jej tylko istota nieczuła:

XXII.

Gdzie wzgórek strzela nad szczyty czaharu,
 Do omglonego podobna widziadła,
 Nad sceną wojny spokojnie usiadła.
 Albo to dziecię śmierci i pożaru,
 Albo zbieg będzie ze krwi i płomienia:
 Jaśnie w tem świadczą skrwawione łachmany,
 Skroń rozraniona, i włos rozczochrany.
 A że ustawnie podnoszą westchnienia
 Tę dłoń co mocno przyciska do łona,
 Musi być biegiem gwałtownym zmęczona;
 Pewnie, strwożonej, grozi losów cisza,
 Lub swej niędoli śledzi towarzysza,
 Bo tak ciekawie poziera do koła.
 „Ho-hop, Nebabo“ Opętanej słowa!
 A w głębi lasu odhuknęła sowa;
 I wilk, jej, wyciem, na powrót odwoła.

nie zrozumiana, jakby z tego rada,
 Dziwacznie suknię i włosy układa.
 , wzrok utkwivszy w bitwę co na przedzie,
 Dziwny śpiew, tonem dziwniejszym, zawiedzie.
 Nie ludzkim uszom, śpiew piekła znajomy,
 Rosnące w jarze zgłuszyły go gromy;
 Za echo, wojny ozwało się wycie.
 Wszakaj na gwiazdy kochanej przybycie:
 Co nie armaty ogniem śmierci błysły, —
 Co twój kochanek rozsiał swe promienie:
 A to nie kule, śmiercią obok świsły,
 Co było znane miłego gwizdnienie:
 Oto i on sam, cały z ognia płynie
 W tej chmurze dymu co mroczy pustynie.

XXIII.

Ostatnim rykiem, ostatnim płomieniem,
 Buchnął jar, wreszcie, z rozdartej paszczęki;
 Otchłań bezdenna nieskończonej męki,
 Dusz potępionych syta złorzeczeniem
 Nie straszniej rzygnie przed świata zniszczeniem
 Luno pożaru, strzelby błyskawica,
 Co ten ofiarny djabłom stos podnieca,
 Blaskiem południa jaśnieje tu prawie;
 Ale, w tym zmęcie, w tej dymu kurzawie,
 Nie można widzieć kto z lachów kto z Rusi;
 Tylko jednego poznać każdy musi.
 Gdzie kilku razem w śmierci bólach jęczy,
 Tam atamana żelazo połyska;

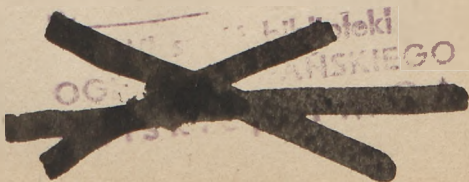
Gdzie prze koń jeden, a szereg, jak fala,
 Cofa się w kręgu płynących obręczy, —
 Tam atamana wrouy koń się ciska.
 Błyskami wojny cięcia swe zapala;
 Gromami wojny wszystkie zbiega strony;
 Zda się że każdą kroplą krwi toczonej,
 Co mu dłoń poi pałasz ubroczoney,
 Serce rozjusza i szablę nastala.
 Ale dłoń jedna, i jedna odwaga
 Nic nie stanowi. albo mało znaczy,
 Tam gdzie za mnóstwem przechyla się waga;
 Cała tam korzyść, śmierć z chlubnej rozpaczy.
 Z dosyć szczupłego Nebaby oddziału,
 Jeden za drugim ubywa pomału...
 Choć, przy niewoli co u Lachów czeka,
 Sama śmierć, widna, jest jeszcze powabną,
 Z boleścią jednak postrzegł on zdaleka,
 Jak szyki jego w nacieraniu słabną.
 I wzrok mu zaćmił jakiś zamiar dziki;
 I wnet radości błysnął promieniami;
 „Krzepcie się, bracia!” woła; leci w szyki.
 „Bóg pomoc niesie, zwycięstwo za nami!
 „Patrzcie, to nasił jak, podobni chmurze
 „Patrzcie przed pożar, suną się po górze.”
 Buchnęła walka, zagaśnienia bliska,
 I serca znowu mordem zakipiały.

XXIV.

Zadrzał ataman. Cóż-to za zachwały,
 Natrętną szablą przed oczy mu błyska

Dwa razy natarł, dwa razy odskoczył,
 Dwa razy koniem w około zatoczył,
 Upatrzył porę, spuścił szablę razem.
 I z atamana spotkał się żelazem.
 Ostrze na ostrzu zaiskrzy, zadzwoni,
 Żołnierz wkrąg strzeli okiem zadziwionem:
 Aż szabla gwiazdy błysnęła ogonem,
 I gdzieś daleko świsnęła mu z dłoni.
 Najlepsza tutaj porada przestradchu!
 W pole przed siebie puścił się z kopyta.
 „Zmykaj nie zmykaj, mój ty śmiały Lachu!
 „I kary także o drogę nie pyta.
 „Jeszcze się żaden przednim nie wysunął!”
 I wiatry w tyle zostawia koń wrony,
 A błyskawice, pałasz wyniesiony.
 Gdyby w biednego żołnierza tak runął....
 I on nie taki trwożny, jak się zdało:
 Na jednym miejscu zwinął koniem śmiało.
 Może on nie chce śmierci przyjąć w plecy?
 Bo skąd-że tutaj nadzieja pomocy?
 Od reszty swoich oba tak dalecy.
 Jakiś tu zamiar pokrywa cień nocy.
 Lotem spojrzenia, ataman dobiega;
 Gwizdnieniem szabli wpół rozdmuchnie Lacha,
 Trzasnął grom skryty, — zajęczała płacha, *)
 I po powietrzu tysiącem drzazg miga.
 Lach dalej świsnął: a koń atamana
 Aż ziemię zapruł kutemi kopyty:

*) Klinga, ława.



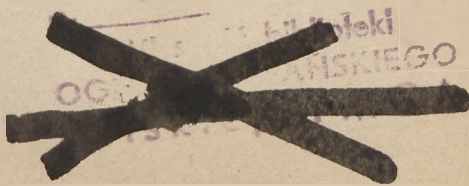
Gdzie prze koń jeden, a szereg, jak fala,
 Cofa się w kręgu płynących obręczy, —
 Tam atamana wrony koń się ciska.
 Błyskami wojny cięcia swe zapala;
 Gromami wojny wszystkie zbiega strony;
 Zda się że każdą kroplą krwi toczonej,
 Co mu dłoń poi pałasz ubroczony,
 Serce rozjusza i szablę nastala.
 Ale dłoń jedna, i jedna odwaga
 Nic nie stanowi, albo mało znaczy,
 Tam gdzie za mnóstwem przechyla się waga;
 Cała tam korzyść, śmierć z chlubnej rozpaczy.
 Z dosyć szczupłego Nebaby oddziału,
 Jeden za drugim ubywa pomału...
 Choć, przy niewoli co u Lachów czeka,
 Sama śmierć, widna, jest jeszcze powabną,
 Z boleścią jednak postrzegł on zdaleka,
 Jak szyki jego w nacieraniu słabną.
 I wzrok mu zaćmił jakiś zamiar dziki;
 I wnet radości błysnął promieniami;
 „Krzepcie się, bracia!” woła; leci w szyki.
 „Bóg pomoc niesie, zwycięstwo za nami!
 „Patrzcie, to nasil jak, podobni chmurze
 „Patrzcie przed pożar, suną się po górze.”
 Buchnęła walka, zagaśnienia bliska,
 I serca znowu mordem zakipiały.

XXIV.

Zadrzał ataman. Cóż-to za zuchwały,
 Natrętną szablą przed oczy mu błyska

Dwa razy natarł, dwa razy odskoczył,
 Dwa razy koniem w około zatoczył,
 Upatrzył porę, spuścił szablę razem.
 I z atamana spotkał się żelazem.
 Ostrze na ostrzu zaiskrzy, zadzwoni,
 Żołnierz wkrąg strzeli okiem zadziwionem:
 Aż szabla gwiazdy błysnęła ogonem,
 I gdzieś daleko świsnęła mu z dłoni.
 Najlepsza tutaj porada przestachu!
 W pole przed siebie puścił się z kopyta.
 „Zmykaj nie zmykaj, mój ty śmiały Lachu!
 „I kary także o drogę nie pyta.
 „Jeszcze się żaden przednim nie wysunął!”
 I wiatry w tyle zostawia koń wrony,
 A błyskawice, pałasz wyniesiony.
 Gdyby w biednego żołnierza tak runął....
 I on nie taki trwożny, jak się zdało:
 Na jednym miejscu zwinął koniem śmiało.
 Może on nie chce śmierci przyjąć w plecy?
 Bo skąd-że tutaj nadzieja pomocy?
 Od reszty swoich oba tak dalecy.
 Jakiś tu zamiar pokrywa cień nocy.
 Lotem spojrzenia, ataman dobiega;
 Gwizdnieniem szabli wpół rozdmuchnie Lacha,
 Trzasnął grom skryty, — zajęczała płacha, *)
 I po powietrzu tysiącem drzazg miga.
 Lach dalej świsnął: a koń atamana
 Aż ziemię zapruł kutemi kopyty:

*) Klinga, lama.



Że można słyszeć przelot nietoperza;
 Chyba że zechce przyświecić płomieniem,
 To buchnie w żary przetlanym kamieniem.

XXVII.

Przecie Nebaba żywo wyszedł z boju
 I łakomego brzydkiej śmierci gardła;
 A choć mu rana do dna pierś rozdarła,
 I w niej krew czarna kipi jak we zdroju,
 I choć posoką umalował skronie,
 I wzrok w strumieniu dymiącym się tonie, —
 Widać, po jego spokojnej postawie,
 Że odpoczywa po wojennej wrzawie.
 Albo też jeszcze i dotąd męczony
 Zuchwalstwem rządcy i Orliki zdradą,
 Zboczył, wędrując pomimo tej strony
 By się nacieszyć obmierzłych zagładą.
 W tymże kołpaku, w odzieży tej samej,
 Szczerniałej trochę pod krwawemi plamy,
 Siedział na złomkach w pół-zgorzałej bramy,
 I swoją pikę trzymał na sztych w ręce,
 Jakby miał bliskie odeprzeć natarcie.
 A w okrąg niego doborni młodzieńce:
 Jedni, jak gdyby stanęli na warcie,
 Podnieśli piki nad zgorzałą wierzą;
 Tylko cierpliwi, że się ani ruszą,
 Choć płomień zewsząd dogryza im srogo!
 A drudzy, w kole gardłem flasze mierzą
 Tylko że nigdy dopić ich nie mogą,

Inni znów, bardziej snem zmorzeni, leżą,
 Tylko że wiecznie tym snem leżyć muszą!
 Musi on całą nasycać się duszą,
 Że tak bezwładny, wpatrzył się przed siebie:
 Pewnie on w cieniach pamiątek się grzebie.
 Tu każde miejsce tyle przypomina!
 Gdzie, w stosach żaru, kurzy się perzyna,
 Ten plac, bywało, uwieńczyły spisy;
 Kiedy swą młodzież zebrał na popisy.
 Miejsce gdzie trup ten, mordem oszpecony,
 Ostatkiem czucia, życia drga ostatkiem,
 Gdy mu natrętne zazierają wrony, —
 Miejsce to uciech nieraz było świadkiem:
 Tu szkło dzwoniło, tu grzmiały okrzyki;
 Za czyjeż zdrowie? Nebaby! Orliki!
 Mściwego samo udręcza wspomnienie.
 Aż z pod wnętrzości wy dobył jęknienie
 Zemsty czy śmierci? w tem odgadnąć trudno.
 Gdzie zwrócił ucho, by dosłyszeć wtoru
 Co może przypaść do jego czuć chóru, —
 Tu raz ostatni pieścił się z obłudną;
 A dziś, o trupią skłóciwszy się głowę,
 Dwa wilki wycia zawiodły grobowe.
 Czegoż te ptaki uderzając w skrzydło,
 I gniewnie kracząc, grzebią w śród popiołu?
 Strawa zapewne warta ich mozołu:
 Bo wygrzebali: człowiek czy straszydło?
 Zczerniały w ogniu, wpół-spieczone ciało:
 Ale Nebabie rozpoznać się dało!
 Nagle ku ziemi czoło mu opadło.

I jeszcze naglej wzniosło się do góry.
 „Ho-hop, Nebabol“ zawył głos ponury,
 I, z pośród ognia, wypełza widziadło.
 A choć niewrzeszczy szalonym chychotem;
 Chociaż ją taniec nie zakreca chyży,
 Bo jej wnętrzości ciężą w pół-wysnute:
 I teraz jednak, gdzie się tylko zbliży,
 Płasają iskry wichru kołowrotem.
 Wilki przy trupach wyją na jej nutę,
 I samo trupów oblicze się zmienia.
 „Wody! ach, wody!“ popatrzyła Ksenia:
 Głos jej znajomy i kochanka oko
 Na jej się wdzięki rozwarło szeroko.
 Jakby w głąb Kseni pragnęło utonąć.
 Albo ją w piekło i siebie pochłonać.
 Ksenia się zbliża, z mniejszą coraz trwogą,
 Oko Nebaby patrzy już mniej srogo;
 Już łono z łonem, już z licami lica,
 Już się i wargą z wargą napotyka...
 Pocałowała Nebabę djablica..
 Teraz do reszty rozporze ją pika!
 Nie; cicho siedzi: tylko mu dreszcz mały
 Wyprężył członki, a źrenice zawsze,
 Zawsze patrzyły, patrzeć nieprzestały,
 Dla Kseni nawet coraz już łaskawsze.

XXVIII.

Na rozburzonym Kaniowa zamczysku,
 Długo podróznym broniący przystępu,



Długo ponęta drapieżnemu sępu,
 Szkielet Nebaby lśnił w grobowym błysku;
 Jak straż zaklęta w pomieszkaniu mary,
 Jak mowny pomnik barbarzyńskiej kary.
 Ogień, co wszystko dokoła potrawił,
 Z mołodców jego śladu niezostawił;
 Poznana tylko z rany i odzienia,
 Szalona Ksenia leżała na trawie,
 Jeszcze w modlącej przed lubym postawie,
 A, w strasznej nocy zamku podpalenia.
 I topielnicy skończyły się pienia.

XXIX.

Gdy duch mój zwiedzał Dnieprowe pobraże,
 I na Kaniowa odpoczął ruderze,
 Jeszcze tam w koło wyszukał on ślady
 Dnia okropnego ostatniej zagłady:
 Jeszcze, po ścianach, krew się czerwieniła,
 Gdzie żona, gnana morderców pogonią,
 Mytą w krwi męża chwytiała się dłonią;
 Żadna wywabić nie mogła jej siła,
 Na miejscu startej inna wystąpiła;
 W popiół przetlałe, z wiatrem się rozwiało.
 Ale nieszczęsne zabójczyni ciało
 W porostej miękką murawą uboczy,
 Trafił na kołtun kseninych warkoczy,
 Ale w nim drobny gnieździł się już ptaszek.
 Obok, leżała z Nebaby ratyszczka,

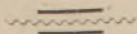
Stal, od płomienia, w ciemny żużel zlana.
 A, błędząc długo wśród skośniałych czaszek,
 Odgrzebał torban, między gruzem zgliszcza,
 I jedną struną z całego torbana.

Ani lat, ani pogody koleje
 Nie mogły przyćmić złotego jej blasku;
 A wiatr, kochanek, z pobliskiego lasku,
 Co noc z nią dawne odśpiewywał dzieje.
 I jam polubił chrypliwe jej tony,
 I, z jej dźwiękami z czasem oswojony,
 Gdym nieraz badał pilnie i ciekawie
 O całej zamku Kaniowskiego sprawie,
 W końcu rozwikłać mogłem tajemnicę
 Co dało powód do zbrodni Orlice?

Gdy w ciemnej nocy przez widmy czy czarty,
 Czy jak wieść była, za rządcy namową,
 Zdjęto wisielca, (odpowiadał głową
 Z pod czyjej trupa uwieziono warty),
 Brat tej dziewczyny był wtedy na straży:
 A serce rządcy do Orliki biło;
 Życie jej brata w rękę rządcy było:
 Lach, niepuszczając pory co się darzy,
 Hardej dziewczynie daje do wyboru;
 Tytuł swej żony, lub srogą śmierć brata;
 Żadnej przewłoki, żadnego oporu!
 Biedne małżeństwo gdzie djabeł za swata!
 I tak, dla brata, miłość poświęciła.
 Rządcy małżeńską zaprzysięgła wiarę;
 A dla miłości inną ma ofiarę:
 Zabiła męża i siebie zgubiła!

XXX.

Mijają lata, z latami zdarzenia.
W ostatnim dymie zgasłego płomienia,
Wróciły w piekło szatany zniszczenia.
Świetnie przejrzały nieba Ukrainy
Zabrzmiała śmiało cicha pieśń dziewczyny.
Czas lasem okrył ostatki ruiny.
Gdzie bojowiska czaszkami bielaly,
Ulewna burza brózd tam zorywa,
W skwarny dzień lata złocą się tam żniwa,
Kwiat się tam, z wiosną, wykluwa nieśmiały.
Złamki szubienic świecą próchnem z ziemi.
Nad zwycięzcami, nad zwyciężonemi,
Trawą usłana mogiła zapada:
Tam błędny żebrak do snu pacierz gada.



PRZEZNACZENIE GENJUSZA.

Na toż powstają Genjusze
W wiecznej bytu zawierusze,
Aby błysnęły kometa,
I potem zgasły bez śladu?
Możnaż, aby twórca ładu
Bezcelną zamknął je meta?
Tutaj, gdzie pyłek jest świata ogniwem,
Oneż się tylko marnie zatracą.
Z całych wieków pracą,
Z plemion podziwem?
„Chwała światłości i cnocie;
„Hańba złemu i ciemnocie!“
Zawoła szkielet mądrości,
Groźny anioł-stróż przeszłości,
Wielki prorok z doświadczenia.
Który nad wieków prochami,
Liczy chwile, kolejami
Bytu i zniszczenia.

„Kto obecność pojąć pragnie,
 „Ku przeszłości ducha nagnie,
 „Ledwo drobny świat człowieka
 „Zaczął swój obrót w światów kołowrocie,
 „Dumny przy swojej lichocie,
 „Z dróg wytkniętych wnet ucieka,
 „I gaśnie w ciemnocie.“

Przecknęła mądrość w Twórcy osobie,
 I tchnęła z boskich piersi, i Genjusz w tej dobie
 Zeszedł na ziemię otwarcie,
 I śmiertelnym przyniósł wsparcie.
 I już odtąd wiek po wieku,
 Jak tylko bóstwo przygasa w człowieku,
 A ciało duszę ugniata,
 Wcielony Genjusz złata,
 I zapaśnik ludzkości, ludzkości imieniem
 Walczy z nocą i spodleniem,
 Aż wrogów duszy obali;
 A świat tymczasem pomyka się dalej.
 Chwała wam, mężo wyższego natchnienia?
 Że dusza żyje przez wasze zjawienia,
 Jak biciem krwi ciało żyje;
 Że przez was wśród tego cienia
 Zegar mądrości idzie i bije.

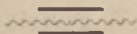
Przytaczając ten wiersz, Adam Mickiewicz
 w kolegium francuzkiem (dnia 10 stycznia 1843 ro-
 ku) powiedział:

„Poeci polscy, skończywszy opiewać przeszłość,
 znaleźli na drodze religijnej i politycznej nową sferę
 działania, rozwidniającą się szybko w poezjach

Garczyńskiego, Zaleskiego i Goszczyńskiego. W chwili tej, poezja słowiańska była w powszechnem oczekiwaniu wielkiej myśli wielkiego wypadku.

„Teraz dopiero wolno może dać wyrok w sprawie romantyków z klasykami. Niepojmowano dawniej jak daleko sięgał ten spór długo toczący się po dziennikach francuzkich, polskich a nawet czeskich. Oto godzono na to, żeby odebrać wyłączne posiadanie sławy reprezentantom dawnego porządku rzeczy w literaturze. Nie zarzucono im braku nauki, niedostatku znajomości teoretycznych, nie przeoczono, że legalnie posiadali krainę literatury, że mieli prawo nią administrować, ale dopominano się o natchnienie, zapytano o dowód na mocy czego panowali i żeby panować, żeby rządzić, nie dość już było pochodzić z familji literackiej, albo odbyć nauki w jakiej szkole: trzeba było pokazać genjusz. Ludzie nie chcieli już kłaniać się niczemu więcej, jak tylko temu co godne czci, co nosi na sobie cechę genjuszu. Odmawiano człowiekowi prawa kierowania rozumem i uczuciem bliźnich jeśli nie udowodnił swojej wyższości dziełem świadczącym o jego sile nadzwyczajnej. Znaczyło to koniec dawnego świata, początek nowego. Reforma ta była radykalniejszą, głębszą, od reformy przedsiębranej w polityce. Szkoły polityczne mniemały jak wiadomo, że byleby dopuścić masy do zawiadywania własnymi interesami potrafią one same rozwiązać całą zagadkę; szkoła literatury nowej obalając dawny

stan rzeczy, chociaż była pewna mieć kiedyś po sobie ogół, nie spuszczała się na jego wyrok, dobywała siłę z samej siebie, z wnętrza ducha ludzkiego. Co więc stanowi początek literatury ostatnich czasów, to owe odwołanie się do genjusza, do natchnienia, które nazwaliśmy messjanizmem.”



Dzieła Goszczyńskiego.

Nr _____ Biblioteki
 GOSZCZYŃSKIEGO
 OGÓLNOEUCHEBIELNIA
 POLSKA
 YMCA

PRZYPISY.

Str. 15 w. 1. W powstaniu na Ukrainie w r. 1768, zamek kaniowski, również jak kilka innych w tej okolicy, był zburzonym i spalonym przez hajdamaków. Jest podanie, iż żona rządcy czyli jak wtenczas nazywano, gubernatora zamkowego, pojmana przez kozaków, i już ranna, potrafiła się jeszcze im wymknąć, a uciekając, przed ich pogonią, po pokojach i wałach zamkowych, coraz słabsza, opierała się o ściany, póki jej nie dognano i nie zamordowano do reszty. Gdzie tylko dotknęła się ścian ręką skrwawioną, zostały ślady; i mówią, że krwawe te znaki nigdy się nie dały zatrzeć, i trwały dopóty dopóki tylko były jakie szczątki murów zamkowych. Te, zresztą, gruzy dopiero przed kilku laty znikły zupełnie.—Kaniów jest małe i liche miasteczko, mieszczanie jednak jego i magistrat mają jeszcze niektóre swobody i przywileje, nadane im od królów polskich. Leży w prześlicznem położeniu nad Dnieprem, rozrzucone pośród urwistych brzegów jego.

Str. 19 w. 4. Rozmowa puszczyków, jak i ca-

ła myśl prologu, jest osnuta na wyobrażeniu gminu, iż djabli wybierają nocy ciemne i burzliwe do wyprawiania swych pustot, i że puszczyki dla tego się śmieją iż widzą wszystkie harce i dokazywania tych istot, które nasza mitologja gminna w pół-straszniemi, w pół-komicznemi wystawia. Prócz poetyczności pomysłu, autor miał i tę pobudkę wprowadzić rozmowę puszczyków w swój czarodziejski prolog, że takowe pożyczania mowy ptakom często się natrafia w pieśniach i dumach ukraińskich, a właśnie jego zamiarem było korzystać ze wszystkich skarbów gminnej poezji naszej.

Str. 27 w. 21. Są to wszystko wyobrażenia ukraińskiego ludu. Według mniemań jego, wiatr kręcący się po polu, który wreszcie po tutejszych nieobejrzanych płaszczynach, nie rzadko widzieć, jest coś niezmiernie złego. Opowiadają przykłady ludzi, których wichur ten spotkał na swojej drodze i którzy odtąd nie wiedzieć gdzie zniknęli. Innym razem, nóż poświęcony rzucony w słup kręcącego się wichru upadł na ziemię w tem miejscu krwią obryzany. Do tego wyobrażenia stosuje się wiersz w „*Marji*” Malczewskiego:

„*Ale że czart na stepie tumany wyprawiał.*“

Spadająca gwiazda jest, podług ich mniemania, latawiec (rodzaj powietrznego złego ducha). O jego miłostkach z kobietami często posłyszeć można. Myślą także, iż zmarłe bez chrztu dzieci błakają się w powietrzu, jęcząc i narzekając, póki kto nie ośmieli się ich przywołać i chrztu udzielić.

Str. 28 w. 10. Wprowadzona tu osoba topielnicy Kseni jest także myśl pojęta w duchu miejscowych wierzeń i uprzedzeń. Nic się w Ukrainie ważnego nie stanie, czegoby nie przepowiedziało nadzwyczajne zjawisko,—coś dziwnego, coś tajemniczego. Bunt ukraiński, który tu nazywają *koliszczyzną*, i szczególniejszą rzeź humańska (o której nawiasem wspomniemy, są współczesne i przez świadków pisane poemata i opisy, zapewne nędzne pod względem sztuki, lecz ważne jako najwierniejszy obraz tej krwawej dramy) miała także być zwiastowaną przez nadprzyrodzone widzenia: między innymi, przez dziwną obłąkaną kobietę, czy opętaną, która, z hukami i nierozumiałą mową, przebiegała sioła Ukrainy. Niemam ja tu myśli tłumaczyć albo usprawiedliwiać pojęcia autora; zwracam tylko uwagę na miejscowy koloryt obrazu.

Str. 46 w. 6. Mikołaj Potocki, banita, starosta kaniowski i bohusławski. Jest-to jedna z osób żyjących w podaniach gminu. Jego życie bezprawia, później pokutę opowiadają w tysiącnych szczegółach. Są pieśni o nim, o jego miłostkach, i okrucieństwach. Jeszcze teraz można znaleźć starców, którzy go znali osobiście; a powieść ich lubo nie w tak dalekie przenosi się czasy, ale w jakże dalekie od nas obyczaje i zdarzenia!

Starosta kaniowski leży w Poczajowie, i jego ciało pokazują, ze szczególną attencyją, miejscowi księża Bazylianie. On-to skutek pokuty za na-

brojone w Ukrainie sprawki pyszny ten klasztor wydzwignął i nadał.

Str. 65 w. 19. Wojewoda Stempkowski pokromił bunt ukraiński. Trzeba wyznać, że kary nie ustępowały w srogości zbrodniom przestępców; one rozjątrzyły jeszcze bardziej niż przestraszyły lud ukraiński.

Str. 87 w. 8. Jest-to szczegół dochowany tradycją. Podczas ciągłych nabiegów tatarskich, kiedy lud okolicy wiedział że horda w pobliżu koczuje, dla bezpieczeństwa, zostawiał jednego ze swoich na jakiej wyniosłej i panującej mogile, lub na wierzchu wysokiego dębu, aby upatrywał Tatarów, i dawał znać o zajrzanych wywieszeniem białej chorągwi lub chustki. Lud pracujący po polach, skoro zajrzał bielejące znamie popłochu, uciekał w znajome sobie kryjówki. Ukraiński telegraf.

To mi napomina drugi szczegół. Słyszałem od mieszkańców pamiętnego w naszych dziejach miasta Czehryna tak tłumaczony początek zwyczaju, powszechnego w Ukrainie, a zwłaszcza w tej okolicy, zbierania się ludu, szczególnie chłopców i dziewcząt, na środek siola, który oni nazywają *ułyčia*, ulica, dla śpiewania różnych pieśni, co się nieraz daleko w noc przeciąga. W czasie koczowania hordy w tych stronach, lud, wiedząc jakie klęski ponosi kiedy na śpiących natrafia Tatarzy, żeby zawsze miał przytomność i gotowość chronić się w razie niebezpieczeństwa, na noc zbierał się razem i dla odpędzenia snu, śpiewał narodowe dumy i pieśni.

Zwyczaj został, chociaż niebezpieczeństwo, co mu dało początek, minęło. Dalsze wiersze oddają sprawiedliwą zapłatę zasługom cienistych dębów Ukrainy, które, w ciągłych zaburzeniach i wojnach, zapewne, niejednemu chroniącemu się śmierci, były pewniejszą opieką niż ściany własnego jego domu.

Str. 88 w. 3. Zwyczaj palenia ogniów w wilię św. Jana zasięga dalekiej starożytności; on się i w Ukrainie przechował. Nazywają go *kupało*. Pospolicie, kiedy dziewczęta wiejskie zaczną swój obrzęd, do którego i kąpanie się należy, młodzież płci drugiej wybiera te chwile żeby na nie niespodziewanie napaść: wtedy cicha nocna scena zamienia się w najtłumniejszą; krzyki, śpiewy, rozlegają się w powietrzu. W 1826 roku autor widział podobną scenę na rzece Taśminie: tu ona się odbywa przy jednej z najpiękniejszych wód w Ukrainie. Jezioro i wieś Białozor leży blisko Smiły, w rozległych sosnowych lasach: znacznego ogromu, szyba, jasna, błękitna, zwierciadlana, błyszczy śród rozstępu siniejących lasów; wieś, prawdziwie ukraińska, ogromna, dobrze zabudowana, ludna, mająca zapewne do 2000 samych dusz męskich, rozciąga się prawie w koło jeziora. Obraz światła rybackich na jeziorze, wspomniany w tekście, powtarza się tu każdego wieczora, i tworzy prześliczną wodną iluminację.

Str. 90 w. 1. Widok ten jest, prawdziwie rysowany z natury; zaraz za miasteczkiem Moszny ciągną się, na szerokość może trzech wiorst bagna i trzęsawiska nazywane Irdyń. Najpewniej jest to

stare łoże Dniepru. Prawy brzeg tych bagien otoczony jest wysokiem pasmem gór wznoszących się piętrami, rozciągnionych szeroko, i okrytych gęstym lasem. W tem miejscu, to jest na pośrednim paśmie, hrabia Woronców właściciel miejsca, założył pałac i zwierzyniec, na 8 wiorst rozciągniony po górach. Pałac otoczony jest zabudowaniami wiejskiego gospodarstwa; wszystkie proste, lecz najgustowniej urządzone: i każdy dziedziniec, ze swemi zabudowaniami, składa najpiękniejszą fermę angielską. Dziedzińce ubrane w drzewa i krzewy, mury domów w porozpinane gałęzie akacji białej i płaczącej; schody, ganki, balustrady, — w kwiaty i różnokolorowe pachnące powoje. Lecz samo położenie piękniejszym jest nad wszystko. Z jednego punktu trochę wyżej za pałacem jest szczególny widok, prawdziwie nieogarniony. Jest to cypl jednej góry (nie najwyższej jeszcze): pod nogami masz widok pałacu i kwiecistych dziedzińców, schody gór okrytych lasem; dalej, pierwszym planem obrazu są bagna Irdynia, zarosłe oczeretem, i gdzieś olcha, za niemi widok miasteczka Moszen; dalej jeszcze rozciąga się Dniepr, jakby siną wstążką, — a tam, z drugiej strony, niskie, piaszczyste brzegi, wsie, miasteczka i monastery już połtawskiej gubernji. Oko ma zewsząd otwarty widok na promień siedmiu lub ośmiu mil w około.

Str. 94 w. 1. W istocie wojska polskie pierwszy raz doścignęły powstańców w pobliżu Moszen, na Irdyniu. Zdarzyło się autorowi iż, będąc w tej

okolicy, słyshał właśnie na miejscu opowiadanie o tem spotkaniu przez czerńca, dozorca młyna należącego do pobliskiego monasteru, i naocznego świadka. Tu Irdyń nie jest tak grzązki; w suchą porę daje się przejeżdżać w większej części zarosły olchami niepospolitej wielkości, gdzieniegdzie tylko biją zdrojowiska i stoją wody. Wszędzie po lasach sosnowych od Śmiły aż do Moszen, były kurzenia hajdamackie, i tradycja pokazuje te miejsca.

Tu właśnie jest miejsce powiedzieć, jak potrzeba żałować, że nie mamy ani dobrej mapy starożytnej, ani szczegółowej geografii, ani zbiorów żadnych historycznych interesu, choćby historycznej ciekawości. Uczony metropolita kijowski Eugeni za pomocą należącego do siebie duchowieństwa i odezwy do obywateli krajowych zaczął zbierać te drogie zabytki przeszłości, lecz nie wiemy, jaki skutek wezmą jego starania, zależące od osób, po większej części lub obojętnych lub nieznających ceny tych walających się w pyle ich nóg pamiątek. Dziś jeszcze za każdym krokiem napotykają się nie rozorane do szczętu mogiły, pod trawą i lasem, ostatki zamczysk polowych, i słyścić można ciekawe o miejscowych wypadkach podania. Ale my to puszczaemy mimo oka i ucha: tymczasem wiek mija, pług równa dzieło czasów minionych, pokolenie po pokoleniu wymiera; a my tracimy skarby, których nawet nie znamy wartości.

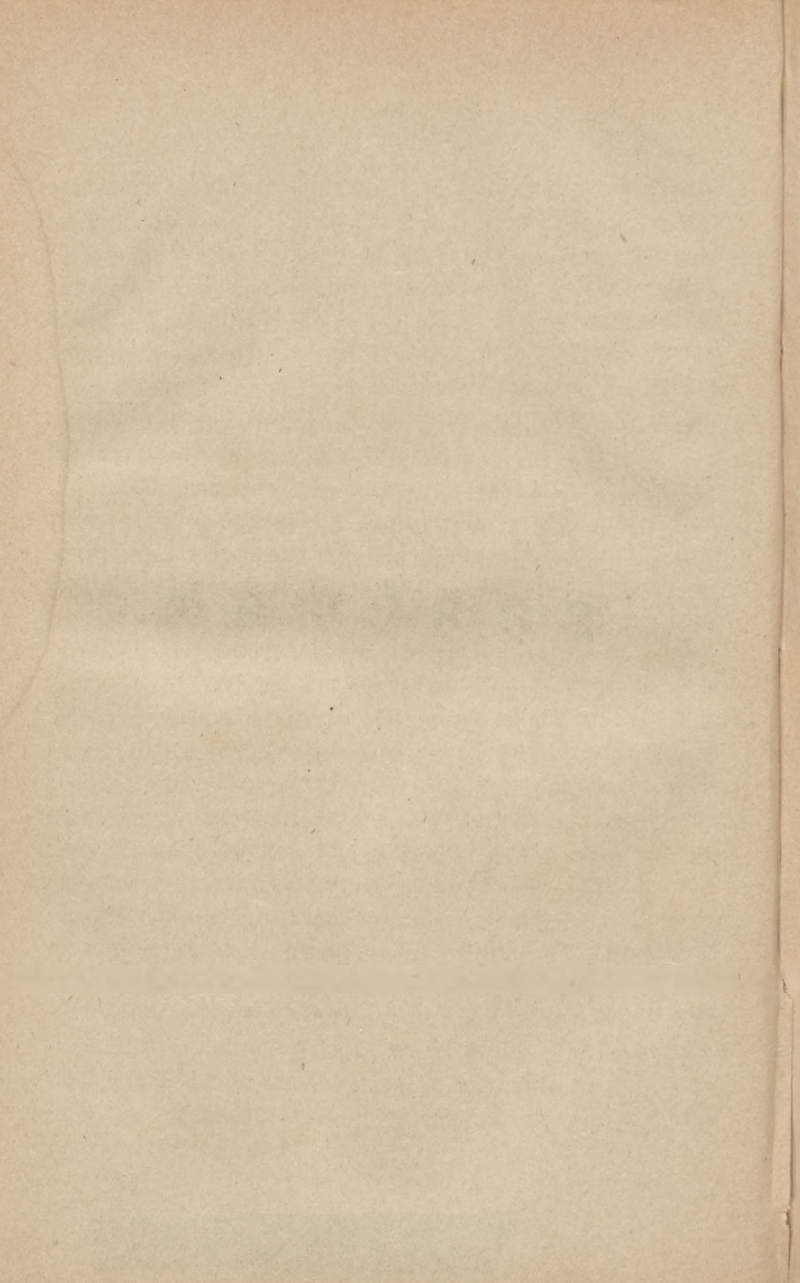
S O B Ó T K A .

Nr _____

Wojewódzki

BISKIEGO





Pół słońca pała na nieba sklepieniu,
A pół zagasło w polskich puszcach błękitach.
Czerwcowy wieczór, na smereków cieniu,
Po wzniosłej Wyżni osuwa się szczyt.
Z niebios podhalskich uchodzi ulewa,
Jak nieprzyjazne wojsko z pół pogromu —
Sztandarem tęczy od Pienin powiewa,
I coraz bliżej wypuści strzał gromu.
Podhalska ziemia, zdyszana po burzy,
Kiedy niekiedy grzmotem z głębi runie,
Kiedy niekiedy z lasów mgłą zakurzy
I jak westchnienie po górach ją sunie.
Na wszystkie strony uciekają chmurki
Łódkami wiatru, przez lasy i wzgórki;
Milczkiem wypełzną, przemykają rąco,
I z wodzem burzą na wschodzie się łączą.
Wolnieje potok, co przed chwilą szalał,
Las rżęsno płacze kroplami dżdżowemi,
A cały przestwór, od nieba do ziemi
Jasny, jak żebyś kryształem go nalał.
Luby góralom ten wieczór czerwcowy!
Na piersiach Wyżni spłonie stos Sobótki.

Brzmia długie trąby, przygrywają dudki,
Krociami dzwoneków igrają parowy.
Pod biciem siekier jęczą ciemne lasy;
Pod trupem jodeł wzgórze się wzdrygają;
Nuca juhaski, hukają juhasy;
Wszystko wre gwarem i góralów zgrają
Drogi góralom ten wieczór czerwcowy!
Na piersiach Wyżni, nad przejrzystą wodą,
Wzniosą stos wielki dwunasto jodłowy,
I roczną ucztę do ranka zawiodą.
Święty góralom ten wieczór czerwcowy!
I Wyżnia święta góralską ponętą:
Góra nad góry, na Sobótki święto.
Wyżnia postawą Kluczek nie dosięga,
Wyżnia w obłokach głową nie ustrzega;
Ale na Wyżni półokrytem łonie
Wabiąca woda lustrem nieba płonie,
A z jasnych skroni las płynie stu-wzory:
Tu brzozy puszcza, jak włosy dziewicze,
I jak włos, Wyżni ocienia oblicze —
Tam na pierś lekkie zarzuca ubiory,
Lub z niskich krzewin, lub drzew jasno listych,
A z piersi spada puszcza gęstą, czarną,
Jak pełne fałdy strojów uroczystych.
Do Wyżni zewsząd potoki się garną,
I wiecznym szumem grają u podnóża!
Do Wyżni zewsząd zbiegają się wzgórze,
I wiszą wkoło, zasłony łańcuchem,
By wiatr zimowym nie wiał na nią dmuchem,
By wschód zawczesny nie drażnił jej oczu.

Wyżnia, jak pani patrzy ze stolicy
 Na gród olbrzymi, olbrzymki-Łomnicy,
 Co błękitnieje w południa przeźroczu.
 Pomiedzy Wyżnią a nawałnic miastem,
 Pod wałem z głazów, gdzie puszcze są chwastem,
 Pod wieżycami, gdzie z granitu dachy,
 Osada z gromów, a z orłów szyldwachy —
 Lśni nowotarskiej doliny opona,
 W srebrnych potoków węże zapleciona,
 Tatrzańskich borów cieniem narzucona.
 Wysłana lasem głęboka dolina,
 Po której stopniach nurt Łopusznej schodzi,
 Cały ten widok w jeden promień spina —
 I do nóg Wyżni w hołdzie go przywodzi.

Jeszcze ot! jedna chmurka przeleciała:
 Las ciemny przejrzał, wystrzeliła skała;
 Na skale jodła—i pięciu leżało
 Leniwy tuman oblał im podnóże,
 Oni leżeli widziadłami w chmurze,
 Jakby w powietrzu, z jodłą i ze skałą.
 Brodate twarze, odzież ich jednaka:
 Czerwono szyta guńka na opaszki;
 Rzęsno jarzące szkiełka u kołpaka;
 Kołczan na plecach, sążniowe wataszki,
 Szerokie pasy, za pasem topory.
 Włos pokręcony w obfite kędziory:
 Tu wisiał, w krasne wstążeczki ujęty,
 Tam w skrzydła wiatru płał swoje skręty.
 Jak orle skrzydła gdy za łupem świszczą,

Jak orle oczy, gdy nad łupem błyszczą,
 Tak groźne, bystre i twarze i oczy.
 Gości, co Wyżnię szpiegują z uboczy.
 Rozbójnik Janosz spoczywał za niemi,
 Głazem, co z wieków wjada się w pierś ziemi,
 Najgłębiej skryty w jodłowym zacieniu.
 Znać go po wzroście, znać go po wejrzeniu.
 Żaden mu góral w niczem nie zrównywa;
 Słynie jak Krywań! O nim Ludek śpiewa:

Janoszu! dzielny góralu!
 Skąd ty wziął się na Podhalu!
 Taki rosły, taki wdzięczny,
 Taki silny, taki zręczny?

Ty wysoki jak Łomnica,
 Jak lawina twa prawica,
 Jako Tatry twoje barki,
 Jak lot gwiazdy bieg twój szparki

Zatrzymasz orła w obłoku,
 Gdy mu utkwisz oko w oku;
 Ty obejmiesz ten buk w borze,
 Co go objąć trzech nie może.

Janoszu! dzielny góralu!
 Skąd ty wziął się na Podhalu!
 Nie kobieta, ale skała
 Zrodzić nam ciebie musiała.

A dziś dnie jego życiem zbójców płyną;
 Lód i przepaści jego dziś dziedziną.
 Po ciemnych jamach z puhaczami mieszka,
 Trop dzikiej kozy zwykła mu dziś ścieżka.
 Co o nim prawią, w głowie się nie mieści,
 Jak o straszycdle krążą o nim wieści.
 Tutaj ze mgłami spada na doliny,
 Tu duchem zbiega nietknięte wyżyny;
 Tutaj, od strzelców odważnych naparty,
 Znika w szczelinie tak wąsko rozdartej,
 Że się zaledwo gadzina prześliznie.
 Z wierzchów, gdzie kamień na proch się rozbryźnie,
 On żywo zleci, jakby skrzydłem ptaka,
 Albo jak kozioł huśta się u krzaka!
 Głos ludu twierdzi, że kochanka jego,
 Którą jak stracił, nikt wiedzieć nie może,
 Przeobrażona w ducha niedobrego,
 Tajemnie nad nim czuwa w każdej porze
 Bo trudno wierzyć, ażeby tak młody
 Przebył bez duchów tak wielkie przygody,
 I jedno imię wdział, jak nawałnicę
 Grzmiącą a ciemną, na całą ziemię.
 Ten sam dziś przyległ lodem do kamienia,
 I wbił przed siebie żrenicę zmartwiałą.
 Pojrzyj mu w oczy, o w głębi spojrzenia,
 Masz jego sławę, jego duszę całą.
 — Oj biada, biada! tym góróm, tej głowie! —
 Wstrząsł wreszcie głową i ze skargą powie:
 — Jakże tu wszystko poszło na pustkowiu!
 Wicie? to pole gdzie młodzież zebrana

On stos buduje, one stawy jasne,
 On bór świerkowy — to moja polana!
 Kiejsi to wszystko było moje własne.
 W górę, na lewo, niedaleko wody,
 Między brzóskami stały me chałupy;
 Dziś, na ich miejscu przegorzały słupy.
 Wprawo od chałup leżały zagrody —
 On staw był kiejsi czysty jak krynica,
 Jedyna kąpiel i ryby bez miary.
 Statku nie mogły pomieścić koszary —
 Wszem smakowały mój ser i żętyca.
 Największy płomień jarzał z mej baczki,
 Najgorsze kundle strzegły mojej trzody —
 Janosz był pieśnią na podhalskie ludy.
 Kasia najradniej szła tu na borówki.
 Na prost za wodą, gdzie tam owa brzóska,
 Pierwszemu dostał od Kasi całuska,
 I tak mi serce schwycił ten całunek,
 Zem odtąd przy niej, jak przy owcy dzwonek,
 A ona przy mnie — — Odtąd trzódki nasze
 Razem do koszar, razem szły na paszę
 Ona śpiewaczka, jam gracz niepośledni,
 Co zaśpiewała, jam wygrał na flecie.
 Długo, ach! długo żyli my tak w świecie,
 Jakby my w świecie żyli tylko sami.
 Raz my nad wieczór rozbiegli się biedni:
 Kasia coś rwała pomiędzy świerkami,
 A ja usiadłem u owego buka,
 Co tam na prawo, a pod nim zdrój płynie.
 Ja gram i śpiewam, Kasia ku mnie huka;

W tem przeraźliwie wrzasnęło w gęstwinie;
 A już się znacznie zgęścił mrok wieczoru.
 Błada ze strachu, leci Kasia z boru:
 Mnich! mnich! krzyknęła — serduszko jej bije,
 Drży, jak blask w stawie, a ściska mi szyję.
 Żle! pomyślałem, alem ją pocieszał;
 Mówiłem śmiało, a język się mieszał.
 Dobrzem ja wiedział, że nigdy daremno
 Mnich nie nastraszy. A tymczasem ciemno
 Kasi do domn wypadła droga;
 Nielza już było puszczać pod noc samej,
 Więc się potokiem razem przebieramy
 Aż pod wieś prawie, do Dziwo-żon jamy.
 Pocałowała mię jeszcze nieboga —
 Kiedym odchodził, prawi że bezpieczna,
 I że nazajutrz znowu ze mną będzie.
 Nazajutrz czekam, doczekać nie mogę.
 Com się nie pytał, com nie szukał wszędzie,
 Przepadła z wieścią; tajemnica wieczna,
 Skradła bez śladu wszystko moje drogie,
 Najdroższe w życiu. Ach! jakim ją kochał
 Bliskie już były nasze zaślubiny.
 Jakem ja bolał dla jednej dziewczyny!
 Na jej wspomnienie, jak dziecię ja szlochał.
 Stwardniałem wreszcie, i płakać przestałem;
 Wszakżem już nie mógł być czem byłem wprzód.
 Nic się nie wiodło w gospodarstwie całym.
 Owies nie rodził, wymierały trzody,
 Grad łęki trzepał, w gumna bił grom Boży.
 I coraz gorzej, coraz było gorzej.

Gdziem się nawinął nie przeszło bez zwady
 Tak, żem już nie śmiał wyjrzeć między żywe.
 Cóż było robić? nie znalazłem rady,
 Tylko porzucić miejsca nieszczęśliwe.
 Więc resztę statku puściłem na wolę,
 Na wieczny odlóg przekląłem to pole,
 Spaliłem chatę, zwałem szalasy,
 I tak jak stałem puściłem się w lasy.
 Myśliłem sobie: ha jak zbójca, może
 Między halami głową gdzie nałożę.
 A jednak żyję! a po co! o Boże! —
 Tak się rozwodził Janusz w słowach rzewnych,
 Złamane ręce spartłszy na kolana:
 — Ode dni kilku jakaś w duszy zmiana,
 A w sercu ulga; jakaś chęć do krewnych,
 Do ojcowizny. Idź, idź na Sobótkę!
 Ciągłe, coś szepce — pójdę na Sobótkę,
 Rzekłem: Haj! pójdę! zobaczę raz jeszcze
 Swoją polanę, zręby swojej budki,
 Może Bóg dobry chce skończyć te smutki,
 Może tam Kasię znajdę i popieszczę.
 Teraz Bóg tylko świadom, co mię czeka,
 Czy bliskie szczęście, czy śmierć niedaleka! —

Zachód mdlej coraz śniegi hal pozłaca,
 Ostatni odblask z cichych wód ucieka,
 Spada na ziemię wieczoru powieka;
 Ale na Wyżni rośnie gwar i praca,
 Pnie się ku górze święty stos wspaniały.
 Dwanaście jodeł z gałęzi odartych,

Zetkniętych wierzchem, spodem rozpostartych
 Spiczastą wieżą ku niebu powstały
 We wnętrzu jego jeży się chróst suchy,
 Czterech górali głównie rozżarzyli,
 Rozkołysali, chróstem upowili,
 Podęli razem silnemi podmuchy.
 Grają płomyki, jak żądła węzowe,
 Wyrzują co chwila z ogniska paszczęki.
 Nagle rozjadły ogień wznosi głowę.
 Rzuca się błyskiem na sterczące sęki,
 Na niższych z razu czepia swe sztandary,
 Oplata kłody, wyziera przez szpary.
 A jak pod korę zapuszcza tymczasem!
 Aż gdy zranione drzewa zapiszczały,
 I w jasnych gwiazdach smolną krew polały,
 Ogień wzdłuż stosu posunął z hałasem,
 Chwyta się szczytu, siada na stolicy,
 Wyrzuca na świat setne dymu kręgi,
 Potrząsa w niebo płomieniste wstęgi,
 I już panuje całej okolicy.

Radośna wrzawa i huczne oklaski
 Przyjęły zewsząd pierwsze ognia blaski,
 Na bór, daleko, spadła ómów zasłona;
 Młodzież góralska od płomieni prędsza,
 Stoi już, w koła tańczące spleciona,
 Jak obraz z cieni urodzony wnętrza.
 Dziewice w kwiatach, chłopcy z długim włosom
 Gęśle i kobzy, fujarki i dudki,
 Wszystko to naraz uderzyło głosem,

Bolesław Domaszewicz
 ADWOKAT
 w Włocławku.

I grzmotnym głosem do tańca Sobótki.
 Zalśniały widzom źrenice ciekawsze,
 Ciekawszy Janosz wychylił się z cienia:
 Westchnął, podumał, i rzecze z westchnienia
 — Hej! hej! dla czegoż ja nie ten sam zawsze?
 Ażebym dzisiaj, o moja rodzinno!
 I ja ze swoją wystąpił piosenką. —
 Zgrzytnął: o bodaj wieczną cierpiął męką,
 Kto potępienia mego jest przyczyną!
 Niech wieczne wieki piekło łzami gasi,
 I nigdy łaski niebieskiej nie zyska,
 Jak ja nie mogę bez mej lubej Kasi,
 Do góralskiego przysiąść się ogniska! —
 Żal tak łający, gorzki był jak piekła;
 Zaświadczy jemu łza co z ocz pociekła.
 Lecz towarzysze skarg tych nie słyszeli;
 A choć słyszeli to niezrozumieli —
 Jakby to można przez jedną dziewczynę
 Za życie zbójcy oddać swą dziedzinę —
 I jednym smutkiem, smutkiem po kobiecie,
 Struć swoje szczęście, zabić całe życie.
 Jak rozkochani w stos patrzali oni;
 I Janosz, gorzką łzę z lica otarłszy,
 Za tancerzami weselszy wzrok goni.

Szerzej i jaśniej, płaszcz ognia monarszy,
 Przejrzyście poły w około rozkłada.
 W osobnym tłumie zebrali się starce —
 Głos ich poważny, roztropna biesiada;
 A oczy żywsze przy brzęczącej czarce.

Z nimi matrony i dzieci zasiadły,
 I czujne kondle przy nich się układły.
 Do koła stosu mniejsze ognie świecą,
 A każdy nową uciechę rozpala,
 A każdy głośną opasany zgrają.
 Pół widne kształty za kształtami lecą,
 To ćmą, to blaskiem, jak płynącą falą.
 Płaczą się koła, ogniska mrugają,
 Połyska w ogniu topór tanecznika;
 I zręczny skoczek ogniem się przemyka.

A w tem od starców głos o posłuchanie,
 Kiczora mówi — głowa dawno siwa;
 Zamożny gazda na wielkiej polanie,
 Co ku wschodowi w piękne niwy splywa,
 Z góry przezwaney mianem jego rodu.
 We czci on wielkiej u swego narodu.
 Na jego okrzyk błysnie, mówią ludzie,
 Więcej wataszak niż ma owiec w trzodzie.
 Dzisiaj już tańczą jego praszczurzęta.
 A chociaż sprawy odwieczne pamięta,
 Jednak nikt dotąd nie postawi śmiało
 Swojego barku przed jego dłoń wprawną.
 Raz Janoszowi tylko się udało
 Rozbroić starca, gdy ten z butą dawną
 Przysiągł oczyścić góry od tej zgrozy,
 Napadł go w lesie i chciał wziąć w powrozy.
 — Dziecił — zawołał — taniec ja wasz chwale,
 Chwałę te pieśni — ależ wy górale,
 Wy dzieci Tatrów, co u wszystkich w sławie,

Wstyd zapominać swej ziemi w zabawie.
 Znam wiele świata; widział ja za młodu
 Nie mało ludzi, nie jedną opokę.
 Kiedym przemierzał szlak do Carogrodu,
 Gdzie się już morze zaczyna głębokie;
 Lecz nie ma nigdzie gór, jak nasze hale,
 Ani góralów, jak nasi górale.
 Owoż o halach zaśpiewajcie dzieci,
 Na nutę co to od skał nazad leci.
 A swemu kiedyś nasze plemię powie
 To, co wam wasi śpiewali ojcowie —
 Roztropnym słowom radzi wszyscy prawie,
 I chętnie skłonni ku cichszej zabawie:
 I ci i owi zbiegli się w gromadę,
 I coby śpiewać złożyli naradę.
 Po krótkim gwarze rozwarło się koło:
 Wyszły trzy dziewczki ze wstydu rumieńcem —
 Kobzy i dudki obległy je wieńcem,
 Kobzy i dudki przegrały wesoło;
 A gdy skokczyły niedługą przegrywkę,
 Dziewki z kolei zawiodły tę śpiewkę:

Strzeżcie się o matki!
 Tulcie wasze dziatki.
 Pod okienkiem mara,
 O zdobycz się stara:
 Czapeczka czerwona,
 Kosa rozpuszczona —
 Ach! to Dziwo-żona.

Jako śmierć złośliwa,
 A jak wiatr pierzchliwa,
 Podsunie się skrycie,
 Ukradnie wam dziecko,
 I zniknie zdradziecko
 O matko! strzeż dziecko —
 Czyha Dziwo-żona.

Góralko nadobna!
 Nie biegaj z osobna,
 W zarosłej ustroni,
 Strach stracha tam goni.
 Czapeczka czerwona,
 Kosa rozpuszczona —
 Ach! to Dziwo-żona!

Jako śmierć, złośliwa,
 A jak wiatr pierzchliwa;
 Pochwyci cię w lesie,
 Pod ziemię zanieś;
 Bez Tatrów, bez słońca,
 Zostaniesz do końca,
 Jako Dziwo-żona.

Niebogo! sieroto!
 Włosy ci rozplotą,
 Czapeczkę nasadzą,
 Słodyczkę jeść dadzą;
 Dla twego serduszka,

Za družkę, za družka,
Będą Dziwo-żony.

Dziewczę, biada tobie!
Ty przed śmiercią w grobie.
Tańczą z tobą mary,
Twe hale, pieczary;
Jak Krywań wysoki,
Tak twój świat głęboki,
Skoroś Dziwo-żoną.

Ucichły kobzy, ucichły i dudki,
A ledwo skonał dźwięk ostatniej zwrotki,
Gęśl zadzwoniła, i śpiewanie dzikie,
Zlało się w cichszą i miłszą muzykę.

Szczęśliwe oczy, szczęśliwe kroki,
Co świat Dziwo-żon nawiedzić mogą,
Alabastrowe wszystkie opoki,
Najdroższy kamień leży pod nogą.

Wszystkie tam wody płyną kryształem;
Każda kropelka spada perełką;
Mosty ze złota w państwie ich całym
A z diamentu każde światelko.

Wielkie, pod niebo są nasze skały;
Perłami rosy toczą się nasze,
Nasze potoki, jako kryształy —
A jak noc świeże bory i pasze.

Bo u Dziwo-żon nasz się kraj kluje;
 Bo u nich każdy zdzój się poczyna,
 Bo je wypieszcza, bo im wartuje,
 Dzika, podziemna, lecz hał rodzina.

— Słyszycie? — Janosz rzekł do towarzyszy:

— Jaką tam gęźbę wyprawują dziewy?

Słyszycie bracia? — powtórzył strwożony.

I miał przyczynę: bo we wdzięcznej ciszy,

Która śpiew pieśni, podniosły się wrony,

I rozpuściły nagle krzyk chrapliwy —

Gacki pisnęły, w gwałt huknęły sowy —

Ponurych wilków rozległo się wycie —

Ciężkich gałęzi kołatnęło bicie,

Jak żeby wichur przeleciał zimowy

I echem śpiące szczeknęły parowy.

Janosz rozgląda, słucha, duchem trwoży,

Ani zmiarkuje co ma trzymać o tem,

Słuch to do drzewa, to na głąz położy;

Drzewo brzmi w głębi, skała drga łoskotem,

Jakby gdzieś końskie kowało kopyto.

Nie rad ze słuchu, oka w pomoc wzywa;

Chce powstać z miejsca ale nagle siada,

I już nie słucha, nie słucha, nie bada,

Tylko zdumiały wpatruje się w dziwa,

Które nie zawsze, nie wszystkim odkryto.

W cieniach zarośli, na granicach blasku,

Jakby na ramach jasnego obrazku,

Żyjących twarzy, głosów mile brzmiących,

Skał zrumienionych, jezior pałających.

I ugwieżdżonej ogniami polany,
 Powstaje w koło widok pół podziemny;
 Duch tam, lub człowiek mignie na przemiany,
 To duch pół jasny, to człowiek pół ciemny
 Między pnie świerków, między cienia smugi,
 Snują się gęsto postacie kobiece;
 Czapki na głowach, w nieładzie włos długi,
 Rozwiana odzież, okopciałe lice —
 U czapek sterczą bezkwietne paprocie;
 A oczy świecą, jak w ciemnościach kocie.
 Czasem się skupią, czasem się rozbiegą;
 I tu, i owdzie badają ciekawie,
 Niby nierade i rade, zabawie;
 W ich niepokoju coś dziwnie straszego.
 Wilki pod krzami czują się gromadą —
 A w gęstwie wyższej nocnych ptaków stado.
 I wszyscy w płomień wpatrują się święty,
 Jakby go w oczy na cały rok brali;
 O podal węzów różnobarwe skręty.
 Świeci odbłaskiem zwierciadlanej stali,
 Większy nad inne, i cudnej piękności,
 Wąż co ma grzebień złocistej jasności —
 Królem on węzów zwany u górali.
 A w większym mroku, widziadła człowiecze;
 Na widmach końskich, mkną się lasem chyżo;
 Strzały na plecach, u bioder ich miecze,
 Czasem nad brzegi lasu się przybliżą —
 I groźnym wzrokiem strzelą przez drzew szpilki.
 Oko ich wąskie, jako ślad iskierki.
 I pierś i głowa, jak w owcy kołtunach —

Gdzie się przybliżą, odezwą się wilki,
 Sowa ciekawie zaziera przez świerki
 I wrony krążą w śmiertelnych całunach.
 Tu się pokażą, tu nikną w mrok głuchy;
 A zawsze szybko i cicho, jak duchy.
 Nieżywa głowa skacze w ślad za niemi:
 Z okiem rozwartem, z ustami ściętymi,
 Zdaje się ciągle szpiegować ich ruchy.
 To długie włosy, jak skrzydła roztoczy,
 I bystrym ptakiem zagwiżdże w gęstwinie,
 To znowu w skrzele długie włosy zwinie,
 I rybą idzie w podziemne głębinie,
 Aż znów z podziemi jak z wody wyskoczy
 Ależ bo w ówczas ziemio staroświecka!
 Dzisiejsze dziwy, dziwami nie były:
 Grały widomie niewidome siły,
 I pilnowały człowieka, jak dziecka.
 W powietrzu, w drzewach, w kamieniu, pod wodą
 Krewne współczucie ludzie znajdowali;
 Bo nie gardzili na ówczas przyrodą
 Bo ją jak matkę znali i kochali.

Ścichła powoli dziwnych głosów walka;
 A koło stosu powstał okrzyk: — Salka!
 Salka nam teraz zaśpiewać powinna. —
 Na to wołanie wybiegła góralka,
 Smukła jak jodła, niby sarna zwinna.
 Żywe jej oko gra nurtem płomienia,
 Śpiew jej słowiczy dzwoni od niechcenia,
 A jednak skały zdaje się przeszywać,

A jednak światłem zdaje się rozlewać.
 Cóż gdy dla śpiewu strun gęśli poruszy?
 Wtenczas myśl pieśni, smutna, czy wesoła,
 Wylana kształtem czarta lub anioła
 Porywa serce i tańczy po duszy.
 Salka gęśl wzięła; przygrywek jej krótki;
 Siada przy starcach, pojrzy po drużynie:
 — Cóż wam zaśpiewam? o chmurnej dolinie; —
 I tak zaczęła, bez kobzy i dudki;

Rozkoszna, jedyna,
 Pochmurna dolina
 Dla całych Tatrów ponęta —
 Lecz lasy i skały
 W krąg ją opasały,
 I bramą z głazów zamknięta

Rozkoszna, jedyna,
 Pochmurna dolina,
 Od całych Tatrów kochana,
 Lecz na niej mgły gęste,
 I deszcze w niej częste.
 Dolina często splakana.

Bo w skalnej siedzibie
 W Dunajca kolebie,
 Panuje straszny duch potwór.
 Zgrzybiały zazdrośnik,
 Dunajca miłośnik,
 Wciąż patrzy za nim przez otwór.

Poczwara złośliwa,
 Szaleje do dziwa,
 Jak tylko weźmiesz mu wody.
 Za kroplę stąd biedną,
 Piekielne bezedno
 Potopem wre niepogody.

Siedziba szatana,
 Skarbami zapchana;
 W niej srebro, złoto, jak śmiecie:
 Nie złota duch patrzy;
 Od złota skarb rzadszy
 Tam leży — wieczne tam życie.

Kto dosyć wytrwały,
 Aż w głębią pójsć skały —
 I na strach mocną ma głowę,
 Ten za swoją dzielność
 Ma tam nieśmiertelność,
 I bierze skarbów połowę.

Lecz ducha złość wściekła,
 Zatrzęsie dnem piekła,
 Jak tylko drzesz się pod skałę;
 Opada ulewa,
 Wiatr lasy wrywa,
 Głaz pęka — Tatry drżą całe.

Cudnie śpiew dzwonił w zasłuchanem gronie;
 Cudnie się błąkał echem rozbudzonem.

Same niebiosa przychyłały skronie,
 Rzęsniej gorzały licem ugwieżdżonem.
 Ogień Sobótki, jak południe, pała —
 Na szczycie nieba północna drży zorza;
 Rozdźwięk strun zagasł, spoczęła młódź hoza,
 Poważnych starców rozmowa ustała.
 I było chwilę, jakby śmierć powiała.
 Jakby świat dumiał północną modlitwą.
 Tylko Janosza spojrzenie się rwało,
 Duszą, w spojrzeniu, w niepokoju całą —
 Rwało na duchów tajemniczą bitwę.
 Kędy pod lasem, w przymroczonej łunie
 Król węzów świetnie złoty grzebień jeży,
 Tam — głębiej, potwór na koniu się sunie,
 Staął, przez chwilę śledzi okiem węza,
 Potem łuk bierze, naciąga i mierzy
 Wąż się podnosi, łeb w górę wypręza,
 Połyska wieńcem i groźnie zasyczy.
 A wtem u łuka strona zaskowyczy,
 Strzała zniknęła, dumny wąż upada —
 Padając świsnął: od onego świstu,
 Z drzew przelęknionych leci chmura listu,
 A zewsząd węzów i gadzin gromada,
 Z liści, z pod liści wysuwa się błyskiem,
 Pnie się na konia, ze sykiem i piskiem,
 Dosięga jeźdźca, chwyta w sto obręczy,
 I wszystko razem w dół się obaliło.

Krótko koń wierzga, krótko jeździec jęczy:
 Zniknęli oba pod węzów mogiłą.

Pisk, jęk, gwizd, łoskot! przykra to muzyka,
 Dla ciszy, którą dźwięki strun wypieszcza.
 Dziewicze koło ciaśniej się zamyka,
 Wstrzęśli się męże mimowolną dreszczą;
 Popłoch po wszystkich obleciał widomie.
 Cyt! po gęstwinie znowu się coś łomie;
 Niepewne oczy w gęstwinę patrzyły:
 Szelest się zbliża, z gęstwy trzej wybiegli;
 Każdy na szczudle, jakie czasem służy
 Tutejszym ludziom do prędszej podróży.
 Radośnie klaśli ci, co ich postrzegli:
 — To Ludek, Ludek! długo nam żądany, —
 — Haj! haj! — zawołał Ludek, syn Michała,
 Z rodu Garoszów, pierwszy gdzie są tany;
 Rej wszem pieśniarzom, Podhalaanom chwała.
 A młody dziedzic na miłą polaną.
 Gdzie skały, zamkiem zakopańskim zwane.
 Wieść o nim biega, że przy wody szumie,
 W którym się huśta Dunajec maleńki,
 Znalazł dźwięk i myśl do pierwszej piosenki—
 Dziś setne śpiewać i sam składać umie.
 Piszczalkę jego słyhać śród tysiąca,
 Piosenka jego tak w serce idąca,
 Że starce nawet łzami myślą o niej,
 Że samo echo przeciąglej nią dzwoni.
 Każdy rad, każdy słyha go ciekawie,
 I on też chętnie przytomny zabawie,
 Kędy za stare dzieje odśpiewane,
 Łzy i oklaski może wzięść w zamianę.
 Wszyscy w głos wielki witali go radzi:



— Cóż Ludek powie? skąd ich Bóg prowadzi?
 Niepokój biega w spojrzeniach pieśniarza:
 — Niech wam Bóg szczęścił — pomieszany powie:
 — Ja wraz z Maniowej—Licho nam zagraża;
 Tatar na nasze następuje zdrowie.
 Bądźcie baczni. Na mocnym Czorsztynie,
 Ode dni kilku, przez rozkaz starosty,
 Kazano czuwać zamkowej drużynie;
 Zawarto wszystkim i bramy i mosty! —
 Starzy dumali; lecz młodzi górale,
 Toporki w górę cisnęli zuchwale,
 I zawołali: — Co? w hałach Tatarzy?
 Któż to na nasze hale się odważy?
 Kto się odważy na te bory głązy,
 Na te topory, bodaj na te razy?—
 I groźnie wstrzęśli zaciśnione pięście.
 Ale Kiczora, co rzecz widzi zdrowo,
 Do serc gorących to powiedział słowo:
 — Powoli dziecil wielkie to nieszczęście,
 Ten dziki Tatar, brzydszy od szarańczy —
 Już on nie dzisiaj, jak świat wielki tańczy.
 Kiedy z państw przegnał Knigę świątobliwą,
 To i przez nasze wąwozy przejść zdoła!—
 — A czy z nich wyjdzie?—odparła młodź żywo;
 — Bawmy się lepiej!—wołano do koła —
 — Ludek też naszej pomoże ochocie.
 Przy ich śpiewaniu zapomnim o trwodze.
 Ludku śpiewajcie! — Pieśniarz był w kłopotcie,
 Przysłał nakoniec: — spieszno ja przechodzę;
 Ale co mogę zostawię po drodze.

Strachem was witam, w strachu was porzucę,
O mnichu bracia! o mnichu zanucę:

Gaśnie zachód na obłokach,
Gwiazdy łamią się w potokach;
Kwiaty zroszone do snu opadły;
Lasy ściemniałe dumać zasiadły;
Drzemie ziemia cicha,
Nic nie uspi mnicha.

Przez sen mówią śpiące góry;
Lśni księżycem gład ponury.
Pruchno się ogniem umarłym błyszczysz,
Sowy hukają, nietoperz piszczy;
Ślepa ćma się snuje,
Wszystko mnicha czuje.

Mnich posuwa lotem kozy,
Po przepaściach, przez wąwozy;
Na sam szczyt drzewa śmignie wiewiórką;
Krzaki najgęstsze przemknie jaszczórką;
Z głazu, mchem wysłiznie,
Z wód, łososiem bryźnie.

Na wyżynie, na głębinie,
W wąskiej jak włos rozpadlinie,
W promyku rosy, w fiołka woni,
Wytryśnie widmo, wiatrem pogoni:
Gdzie nie pomyśl zajdzie —
Gdzie się nie skryj znajdzie.

Nie pamięta żaden żywy,
 Kiedy wszczęły się te dziwy.
 Kiedy się skończą, któż zgadnąć może?
 Potłum to lichu prosimy Boże!
 Mocą krzyża swego
 Zasłoń nas od niego.

— Oj dzieci! z mnichem nie trzeba żartować! —
 Rzekła Plewina, staruszka ostrożna:
 — Kogo przydybie ta mara pobożna,
 Lepiejby temu zmięję pocałować.
 Spotkanie mnicha tego narobiło,
 Że Janosz żyje Bóg wie po jakiemu! —
 — Jakże to było? jakże to tam było?
 Powiedzcie, matko; będziem radzi temu.
 Tej całej sprawy nie jeden z nas nie wie.
 — Ludek nam powie! — rzecze Salka żywa.
 — Oni go nieraz wspominają w śpiewie —
 Oni to znają. Niech Ludek zaśpiewa. —
 Na błagające wspomnienia dziewczyny,
 Na zaklinanie skupionej drużyny,
 Ludek rad nie rad ku ognisku wrócił,
 I z wtórem kobzy tak znowu zanucił:

Ranna jaskółka na juhasów woła,
 Pstrokacieją Wyźni boki
 Czego Wyźnia tak pstrokata?
 Czy jaki wicher dmie w Gewont wysoki
 I na sztuki go rozmiata?
 To Janosz swój statek rozpuścił dokoła

Dzwoni fujara, i śpiewek na dziwa.

Idzie górami w sto śpiewek;

Któż te cudne pieśni składa?

Czy za górami sto góralskich dziewczek,

Stu góralom odpowiada — ?

Tu pieśniarz uciał; pod palcem kobziarza,

Pękły z dalekim jękiem wszystkie druty.

Ze środka lasu wypadł wichur luty;

Wyrywa jodły słupem liście tarza;

Płomień stosu kręci wichur śrubą;

Mroczy polany chmurą dymu grubą —

Każdy się tulił, wszyscy się pytali:

— Czem struny pękły? skąd ten wichur luty?

Czyście słyszeli, jak coś jęko w dali?

Byłóż to echo, kiedy pękły druty? —

Wszyscy pytają, a nikt nie odgadnie.

Lepiej to widzi Janosz ze swojemi:

Zaledwie wichur z pod lasa wypadnie,

Jak przed gadziną skoczył on od ziemi,

Wrzasł przykrym jękiem, zbiegł na brzeg opoki

Wyciągnął palec, rozwarł wzrok szeroki:

— Czy wy widzicie, widzicie w kapturze? —

Opryszki milczkiem spojrzeli mu w oczy,

Potem po sobie z uśmiechem spojrzeli:

Bo nie widzieli, tylko wielką burzę.

Tylko słup wichuru, co liściami toczy —

To nie ma dziwu, że się w duchu śmieli.

Janosz umilkł: drżały w piersiach słowa;

Oczy w słup stały, zawsze w jedną stronę:

Widziadło stąpa liściem otulone;
 Pod wielki kaptur całą głowę chowa;
 Na piersiach leży długa broda siwa,
 A trupia głowa siedzi na ramieniu.
 Widziadło wichrem stąpa ku płomieniu:
 Głowa z ramienia ptakiem się porywa,
 Leci ćmą w ogień, uderza piorunem,
 I stos rozwała; widziadło brodacza
 Stos rozburzony poważnie przekracza,
 Wlecze za sobą dym i skry całunem,
 I burzą co raz dalszą w lasach znika.
 Wszystko ucichło, Janosz się odcyka,
 Jak po śnie strasznym; przeciera powiekę
 Niepewnie w okrąg poziera i słucha,
 I sam do siebie przemawia po cichu:
 — Czyż to ty byłeś? ty nieszczęsny mnichu
 Ciebież widziałem? haj, widziałem ducha.
 Nieszczęście niesie! bliskie czy dalekie!
 Biada nam! komu? mnie czy im? pobiegnę,
 Polecę do nich, zawołam, ostrzeżę,
 Niech do dom idą, niech będą gotowi.
 A będąż wierzyć? komu? opryszkowi?
 Bajce o strachu? hej Janoszu! w drogę
 Tu niebezpieczno. Czekaście! nie mogę
 Nie mogę odejść! ich tutaj coś spotka,
 A spólna dola, zawsze, zawsze słodka —
 Usiadł i czeka, niechaj co chce będzie

Popłoch górali przewiał w burzy pędzie.
 Straszny to wicher, ale wzdy przeminął.

Stos gore znowu. Gdzież to ludek zginął?
 Czy nie ze sobą burza go porwała?
 — Gdzież tam!—ktoś woła — gracz to syn Michała.
 On rad że wreszcie od was się wywinął
 Zaledwo wicher ognisko rozmiotął;
 On się na szczudłach co żywiej wydzwigał,
 Aż zatrzeszczało tak dalej pośmigał
 Zawołał: — Reta — a pewno chichotał. —
 — Niech sobie lecą na szyi złamanie!
 Jakoś i bez nich będziem mieć śpiewanie —
 Zawoła Salka: — niechaj lecą sobie,
 Ja wam na oko, jak tam było, zrobię.
 Wy też Magiera świadom rzeczy całej
 Ja będę Kasia — i wedle tej skały
 Będę zawodzić i jagody zrywać.
 A wy Magiera pod bukiem usiądźcie
 Będziemy sobie wzajem przyśpiewywać.
 A wy Nasieka starym mnichem bądźcie.
 Skryjcie się w gąszczu i jak strach na Kasię
 Wpadnijcie na mnie — ja powiem o czasie.
 No pamiętajcież! — i w zaroślach ginie
 Antosz Nasieka w gunię się ubiera,
 Jak w kaptur mniszy — i siada w gęstwinie,
 A z pod buczyny tak nuci Magiera:

Cobym ja dał! cobym ja dał!
 Żebym we dnie i we mroku,
 O zachodzie i o świcie
 Żebym całe, całe życie
 Miał cię Kasiu przy swym boku.
 Pół mej trzody jabym dał!

Magiera przestał i dudą wygrywa,
A za drzewami dziewczę się odzywa.

Miej dla siebie trzody swoje,
O bydło nie stoję.

Cobym ja dał! cobym ja dał!
Żebyś twoje piersi białe,
Jako wzgórki uśnieżone,
A jak puszek wypieszczone
Mógł dotykać życie całe.
Jabym ci polanę dał?

Śpiewak znów ucichł, i przegrywa w dudy
A dziewczę z gęstwy nuci jako wprzód:

Miej dla siebie łąki swoje,
O trawę nie stoję.

Cobym ja dał! cobym ja dał!
Żebyś u tego zarzewia,
Na to łóżko jak w kolebkę,
Złożyć chciała ciało gibkie,
Jako pręcik kozodrzewia.
Jabym siebie tobie dał!

Długo śpiew krąży, po przestworzu cichem,
Aż od gęstwy leci głos ze śmiechem:

Niechcę trzody, niechcę pola
A twoja bądź wola.

Pieśń się skończyła; starzy lubowali,
 Młodzież to piosnkę to pieśniarkę chwali;
 Wszyscy czekają co nastąpi dalej.
 O! i mnich wręście podnosi się, mruczy.
 Nagle do koła, zatętni, zahuczy;
 Salka wypada, krzyczy co tchu staje,
 Utraca siły i mdleje śród drogi.
 — Dobrze udaje — krzyczą — jak udaje! —
 Ale wnet radość wrzasła gwarem trwogi:
 Stęknęły głazy, trzasnęły konary;
 I jezdne zewsząd suną się poczwary;
 Suną się błyskiem, zawodzą ponuro,
 I nakrywają góralów strzał chmurą.
 — Tatarzy, przebóg! — zagrzmiał głos Kiczory.
 Wataszki w rękę! do góry topory!
 — Górale do mnie! kto zdolny na opór.
 Za mnie tu! za mnie kobiety i starzy! —
 Wystąpił naprzód, trzykrotnie zaśwista,
 Wypuści w górę, jak głównię, swój topór.
 Pół kołem obok staje młódź barczysta,
 A naprzód lecą i wrzeszczą Tatarzy,
 Po owczych kudłach otuleni nocą,
 A ognie stosu po szablach migocą.

PRZYPISY DO SOBÓTKI.

Strona 105 tytuł. *Sobótka.*

Uroczystość ludów słowiańskich, znana w różnych plemionach pod różnemi nazwami. Sięga najdawniejszych czasów, a w niektórych stronach trwa dotąd. Przypada 24 Czerwca. Mieszkańcy jednej lub kilku osad gromadzili się w pewne miejsce, nakładali wielki ogień, tańczyli około niego, śpiewali, czynili rozmaite wróżby, to skacząc przez płomień, to wianki na wodę puszczając. Było to istne słowiańskie igrzysko, lub święto ognia odziane uroczystą tajemniczością religiji, i całym urokiem poezji. Pojąłem ją w tym duchu i wystawiłem w niniejszej poezji. O Sobótce wspominają nasi kronikarze; z powodu Sobótki są pieśni Jana Kochanowskiego, które jednak przez naśladownictwo cudzoziemskiej literatury, nie dają o niej żadnego wyobrażenia. Jeszcze

jedna uwaga względem Sobótki nie będzie zbyt cenną. Zdaje się, że Sobótką, w czasach przynajmniej późniejszych, znaczyła to samo, co dzisiejszy obcy wyraz wigilja. Sobota była dniem poprzedzającym największe święto, jakim jest niedziela, wcale więc logicznie nazwano dzień przed mniejszymi świętami Sobótką, czyli małą Sobotą, mniejszych uroczystości.

Strona 107 w. 4. *Po wzniosłej Wyźni usuwa się szczyt.*

Wyźnia, góra w pasmie leżącym nad Nowotarską doliną, równoległe do skalistych, najwyższych Tatrów. Stoi ona na gruntach wsi Łopusznej. Jej obraz w powieści wiernie jest wzięty z przyrody.

Strona 107 w. 5. *Z niebios podhalskich uchodzi ulewa.*

Tatry najwyższe, co są na granicy Węgier i Galicji, noszą u mieszkańców tamecznych nazwisko hal, od hal, czyli pastwisk znajdujących się między nimi; dla tego podnóże Tatrów zowie się podhalem, a jego mieszkańcy podhalanami. Nazwisko to odnosi się do niewielu wsi, leżących pod samymi Tatrami.

Strona 107 w. 7. *Sztandarem tęczy od Pienin powiewa.*

Pieniny, najwyższa góra skalista, w temże pasmie co Wyźnia. Leży nad samym Dunajcem, Słynie jako przytułek św. Konegundy w czasie tatarskich wojen, oraz szczątkami jej zamku.

Strona 108 w. 5. *Nucą juhaski, hukają juhasy.*

Nazwisko pasterzy u tatrzańskich Słowian.

Strona 108 w. 14. *Wyżnia postawą Kluczek nie dosięga.*

Kluczki, góra na granicach łopuszańskich, najwyższa w swoim pasmie po Pieninach. Niepospolitej rozległości widok ją otacza. Na dniu pogodnym można z niej widzieć Kraków o mil jedenaście oddalony.

Strona 109 w. 2. *Na gród olbrzymi olbrzymiki Łomnicy.*

Łomnica najwyższa w Tatrach góra. Widać ją w całej okazałości od strony Węgier.

Strona 109 w. 8. *Lśni Nowotarskiej doliny opona.*

Nowotarską doliną, zowie się kilkunastomilowa przestrzeń pomiędzy Tatrami; od leżącego na niej miasteczka Nowego targu.

Strona 109 w. 12. *Po której stopniach nurt Łopusznej schodzi.*

Łopuszna, jest to właściwie potok, utworzony z kilkudziesięciu mniejszych; źródło jego na szczycie Kluczek, a ujście w Dunajcu pod wsią Łopuszną.

Strona 110 w. 9. *Słynie jak Krywań.*

Krywań znajomy nam mniej więcej po Łomnicy

najwyższy szczyt w Tatrach. W Galicji widać go tylko ode wsi Suchy ząb zwanej.

Strona 112 w. 2. *To moja polana.*

Każda łąka w górach między lasami.

Strona 112 w. 10. *Statku nie mogły pomieścić koszary.*

Górale tatrzańscy, choć najwięcej do Krakowiaków zbliżeni, mają przecież mnóstwo oddzielnych, właściwych sobie wyrazów. Między innymi było zowie się u nich statkiem: rogate, gruby statek; nie rogate drobny statek; domowe, ptactwo gadzina itd.

Strona 112 w. 11. *Wszem smakowały mój ser i żętyca.*

Góry Karpackie w ogólności słyną z tego nazwiska serwatki. Jest to właściwie mleko wszelkiego rodzaju, pomieszane i zwarzone przy ogniu.

Strona 112 w. 12. *Największy płomień jarzał z mej bacówki.*

Bacówka, buda pasterska w górach.

Strona 112 w. 15. *Kasia najradniej szła tu na borówki.*

Jagody leśne na drobnych krzewinach zwane gdzieindziej czernicami.

Strona 113 w. 4. *Mnich! mnich! krzyknęła.*

Widziadło mnicha grające w tej powieści zna-

czną rolę, objawiało się w samej rzeczy w tych okolicach przed laty jeszcze kilkudziesiąt. Powstawało najczęściej z wody. Inne o niem szczegóły zawarte są w samejże powieści.

Strona 113 w. 13. *Aż pod wieś prawie, do Dziwo-żon jamy.*

O Dziwo-żonach sama powieść obszernie mówi, a zawsze na podstawie podania. Widziałem pod Łopuszną ich pieczarę od lat kilkunastu zawałoną kamieniami.

Strona 114 w. 18. *Rzekłem! taj pójdę —*

Haj! u góralów słowo twierdzenia: Tak, tak jest!

Strona 115 w. 28. *Kobzy i gęśli, fujarki i dudki.*

Niektóre z tych narzędzi, dotąd się znajdują między góralami, innych używanie przeminęło; alem je wprowadził, bo myślałem o wieku XIII; a wprowadziłem je, podług ich opisu z dawniejszych czasów; i tak: dudami zwała się wprawiona dudka w skórzany mieszek, który dla wydania głosu przyciskał się pod pachą. Kobza, rodzaj gitary, z kilkoma drucianymi strunami; fujarka, piszczałka pasterska, flet, dmie się w otwór u wierzchu, fletnia, z boku; gęśl tylko pozwoliłem sobie wyobrazić taką, jak ją dziś widzujemy.

Strona 117 w. 13. *Zamożny gazda na wielkiej polanie.*

Gazda w dialekcie góralskim to samo, co u nas gospodarz, kmieć.

Strona 117 w. 15. *Z góry przezwanej mianem jego rodu.*

Kiczora, góra łącząca Wyżnią z Kluczkami, pośrednia między obiema, co do wysokości; zowie się inaczej Ciaski.

Strona 117 w. 18. *Więcej wataszek niż ma owiec w trzodzie.*

Wataszka, siekierka góralska, na długim drzewcu osadzona, służy razem do podpierania się; zowią ją także ciupaga.

Strona 118 w. 4. *Kiedym przemierzał szlak do Carogrodu.*

Przemysł i handel zawodzi górali w dalekie kraje.

Strona 118 w. 21. *Dziewki z kolei zawiodły tę śpiewkę.*

Powiniennem raz na zawsze upewnić czytelników, że wszelkie podania, wyłożone w powieści, są wiernym przekładem podań krążących pod Tatrami.

Strona 119 w. 25. *Słodyczkę jeść dadzą.*

Jakie to ziele, które Dziwożony bardzo lubią o tem przekonać się nie mogłem.

Strona 121 w. 6. *Jaką tam gęźbę wyprawują
dziewy.*

Gęźba, stary wyraz, to samo co dziś muzyka.

Strona 121 w. 11. *Gacki pisnęły, w gwałt huknęły
sowy.*

Gacek, nietoperz.

Strona 122 w. 23. *Królem do węzów, zwany u gó-
rali.*

Podług górali, wąż ten istnieje rzeczywiście. Ma mieć barwę nadzwyczajnej piękności, a na głowie grzebyk do korony podobny. Napastowany wydaje gwizd donośny, a tysiące węzów przybywa mu na pomoc.

Strona 123 w. 6. *Nieżywa głowa skacze w ślad za
niemi.*

Ta głowa bez reszty ciała, obrosła bardzo długimi włosami, błąka się do dziś dnia po łopuszańskich polach.

Strona 124 w. 8. *Cóż wam zaśpiewam? o chmur-
nej dolinie.*

Kościeliska dolina, ma dzisiejsze nazwisko dopiero od porażki Tatarów, wprzód więc inne mieć musiała: dowolnie nadałem jej miano: pochmurna, z przyczyn w pieśni wyłożonych. Ze źródła o którym pieśń wspomina wypływa Dunajec czarny.

Strona 127 w. 17. *Gdzie skały zamkiem zakopańskim zwane.*

Nieraz można między górami trafić na mare opok, wyobrażających w całości swojej obwarowane miejsce. Do rzędu takich zjawisk należą skały w Zakopanem, i z tego powodu zamkiem zakopańskim nazwane. U ich podnóża wytryska w kształcie kilkosążniowego wodospadu źródło białego Dunajca.

Strona 128 w. 1. *Co Ludelk powie? skąd ich Bóg prowadzi.*

U wielkiej części pokoleń słowiańskich, zaimek użyty w trzeciej osobie liczby mnogiej, znaczy uszanowanie dla tego, do kogo się odnosi. Górale służą za przykład tego.

Strona 128 w. 4. *Ja wraz z Maniowej —*

Ogromny garb tego nazwiska, w temże paśmie co Kluczki i Pieniny. Wieś Maniowa leży nie daleko tej góry na drodze z Czorstyna do Nowego targu.

Strona 128 w. 22. *Kiedy z państw przegnał Knigę świątobliwą.*

Jest tu mowa o św. Kunegundzie, uciekającej przed Tatarami do Węgier.

Strona 130 w. 26. *Czy jaki wichur dmie w Gewont wysoki.*

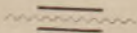
Gewont, góra uderzająca kształtem nagiej ściany, leży między Zakopanem a Kościeliskiem.

Strona 133 w. 8. *Zawołał: reta! a pewno chichotał.*

Reta, to samo, co gwałtu, wyraz ludu polskiego.

Strona 134 w. 18. *Złożyć chciała ciało gibkie—Jako pręcik kozo-drzewia.*

Kozo-drzew rodzaj krzaczystej sosny. Rośnie w najwyższych roślinnych strefach. Ściele się po ziemi tak gęsto, prętami tak giętkimi, że jak w sieć można się weń uwikłać.

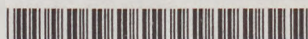


BIBLIOTEKA
UNIwersYTECKA
GDAŃSK

XIX/98I

XIX/99I

Biblioteka Główna
Uniwersytetu Gdańskiego



1000410404

Biblioteka Główna
Uniwersytet Gdański



1000441601